Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 31 marca 1935 r. Nr. 13.



NA POŻEGNANIE...

Wszystko co miałem — wszystko Ci dałem
Dziś Ci nic więcej dać już nie mogę,
Dałbym Ci serce to... spopielałe!
Ale cóż niósłbym w daleką drogę?

Słodkie godziny przeżyte razem,
W długiej upojeń szczęsnych godzinie,
Będą przedemną płynąć obrazem
Mglistych marzeń w bolesnej malignie.

Może gdy spocznę pod gołem niebem,
Gdy ujrzę nocą gwiazd lśniące roje,
I nie zapałam dziwnym znów gniewem,
Przypomnę sobie cudne oczy Twoje!

„ORZEŁ ŚLĄSKI".

MARJA REUTT

Co silniejsze?

Czyli „Miłość, czy obowiązek“

5

Objęła go za szyję i tuląc do siebie, załkała gorzko, boleśnie.

— Nelu, wierz, że kocham cię, że gotowa byłabym na największe poświęcenie dla twego szczęścia i gdyby to było możliwe zgodziłabym się bez wahania na twoje małżeństwo z Romą. Wystarczyłby mi fakt, że ją kochasz, że w małżeństwie z nią widzisz swoje szczęście!

Ale nie mogę... muszę wymagać od ciebie tej ofiary.

To nakazuje mi sumienie, choć serce boli i buntuje się.

— Wytłumacz, dlaczego, mamo? — pytał wzruszony jej łzami.

Zrozum, mamo, że kocham Romę jak nie kochałem dotąd nikogo. Nie wyobrażam sobie życia bez niej...

Ściskając go za ręce, zmusiła, by usiadł obok niej.

— Nelu, musisz jej się jednak wyrzec...

Milczała chwilę, dysząc ciężko.

— Nie jesteś synem swego niby ojca. Nie masz prawa ani do nazwiska Dworanowiczów, ani do majątku.

Ochrypły, zduszony okrzyk wyrwał mu się z gardła.

— Jakto!

— Tak!...

— Mąż mój był bezpłodny. Znasz historję matki Helenki. Po jej ucieczce Henryk zaciął się, znienawidził ją. Pragnął mieć dziecko za wszelką cenę, by ją pozbawić pretensji do majątku. Zaczął radzić się doktorów, leczyć. Nic nie pomogło. Straciłam nadzieję, pogodziłam się z losem bezdzietnej matki, ale on nie. Lata nie przygasiły w nim ognia żalu i zemsty. Szły lata. Pewnej wiosny zjawił się u nas nagle młody student, niby w charakterze praktykanta. Przystojny był, rosły, zdrowy...

Mąż mój traktował go bardzo przyjaźnie, zachęcał do spędzania z nami wieczorów, zostawiał nas sam na sam, wyprawiał na przechadzki i długie spacery.

— Aż wreszcie jednego wieczoru kazał podać butelkę szampana. Sam nalewał mi lampkę za lampką. Uśpił mnie. Straciłam przytomność. — Zniżyła głos, spuściła oczy.

— Jak przez mgłę miałam wrażenie, że czyjeś mocne ramiona uniosły mnie w górę i niosły gdzieś w daleką przestrzeń, jak mi się wówczas zdawało. Więcej nic nie pamiętałam.

Obudziłam się rano z szalonym bólem głowy.

Kazałam służącej przynieść sobie mocnej herbaty z cytryną i zostałam w łóżku przez cały dzień.

Mój mąż nie zjawił się u mnie zupełnie tego dnia.

Kazał powiedzieć lokajowi, że wyjeżdża i wróci dopiero za trzy dni.

Gdy nazajutrz wstałam z łóżka, czułam się jak po ciężkiej chorobie. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Krążyłam dzień cały po domu i ogrodzie, niezdolna usiedzieć długo na jednem miejscu, gnana wewnętrznym niepokojem i przeczuciami.

Czwartego dnia powrócił mój mąż. Przestraszyłam się i aż krzyknęłam na jego widok, tak był zmieniony, zmizerowany, postarzały i posiwiały.

— Miałem duże zmartwienie i stratę — odpowiedział krótko na moje pytanie, unikając mego wzroku.

Praktykant wyjechał, by więcej nie wrócić. Nie widziałam go już nigdy po tej szalonej nocy.

* *
*

Gdy po miesiącu powiedziałam mężowi, że zostanę matką, zbladł jak trup. Zdawało mi się na chwilę, że całe życie uszło z niego, ale przypuszczałam, że to z radości.

Cały okres ciąży był dla mnie jak najtroskliwszy. Dbał o moje zdrowie, wzywał często lekarzy, dostarczył mi najmożliwszych w mym stanie rozrywek i przyjemności. Kochałam go zawsze bardzo, garnęłam się więc do niego, z ufnością szukałam u niego otuchy przed czekającymi mnie przejściami. Pieścił mnie, dogadzał, ale czułam, że jest inny, że coś się zmieniło w naszych stosunkach, zepsuło, lecz nie umiałam określić co.

* *
*

Kiedy akuszerka oznajmiła mu, że został ojcem zdrowego syna przypadł do mnie i całował po rękach i nogach z wybuchu wdzięczności.

Pławiłam się w szczęściu i radości, odmładniałam, wypiękniałam w morzu miłości męża, i uczucia macierzyńskiego. Czułam się tak szczęśliwa, że aż zaczynałam się bać zawiści złych mocy i losu.

I nagle jednej minuty moje szczęście rozpadło się w gruzy, a miłość do męża zamieniła się w niechęć i wieczny żal i urazę.

Gdy miałeś rok, korzystając z nieobecności męża zabrałam się do uporządkowania szuflad w biurku Henryka. Nie miał przedemną tajemnic żadnych i pozwalał mi parę razy do roku opróżnić wszystkie jego szuflady w gabinecie z niepotrzebnych bezwartościowych już listów, rachunków, katalogów, ofert.

Kończyłam sprzątanie, gdy nagle wpadł mi do ręki zmięty list, pisany przed rokiem przez owego praktykanta. Przebiegłam go oczami i pokój zawirował ze mną.

— Dziękuję za pieniądze. Przydały mi się bardzo, bo żenię się z bogatą panną, więc muszę odpowiednio wystąpić. Cieszę się, że tak się gracko sprawiłem. Przysługę tę, której cała przyjemność była tylko po mojej stronie, opłacił WPan bardzo hojnie i przedtem i potem, nawet za hojnie, ze względu na urodę WPani.

Mam nadzieję, że rozwiązanie nastąpi pomyślnie i że to, co przyjdzie, nie będzie do mnie podobne ani z urody, ani z charakteru.

Z poważaniem!...

— Przywitałam męża z twarzą kamienną, z oczami pełnemi oburzenia, pokazałam mu list. Nie wypierał się, a list podarł odrazu.

— Chciał mieć za wszelką cenę potomka. Użył do tego syna swego zmarłego dawno przyjaciela. Chłopiec zaplątał się w trudności finansowe. Za cenę dyskrecji popłacił jego długi. Wydziedziczył siostrę, chciał między nią a majątkiem swoim postawić żywą zaporę — ciebie.

— Nie mogłam mu długie lata zapomnieć tego, darować podstępu. Znienawidziłabym go, gdyby nie ty...

— Zbyt cię kochałam, by mu złorzeczyć. Mogłeś się przecież mimo to nie urodzić.

— Umierając cały majątek zapisał tobie, obcemu. Helenkę pominął, a przecież tylko ona jedyna ma prawo do tego majątku, jako najbliższa krewna.

— By naprawić krzywdę musisz się z nią żenić...

Podniósł się z krzesła i stanął przed matką wyprostowany, zdecydowany do ostatniej kropli krwi bronić swego prawa do szczęścia i miłości, bez której życie człowiecze jest tylko nędzną, szarą wegetacją.

— Mogę się zrzec majątku na jej korzyść. —

Uśmiechnęła się gorzko przez łzy.

— Ale ojciec zaznaczył, że wrazie twej śmierci lub zrzeczenia się dla jakichśkolwiek powodów majątku, przechodzi on w całości na towarzystwo opieki nad zwierzętami.

— A mnie chodzi, by majątek ten dostał się Helence, by choć w części wynagrodzić jej te lata nędzy, które cierpiała jej matka i ona, gdy ty, obcy, opływałeś w dostatki.

Załamał się. Usiadł ciężko na krześle i oczy zakrył dłonią. Dyszał ciężko.

— Nie mogę, mamo, zbyt kocham życie i Romę.

Położyła mu rękę na głowie.

— Musisz, synu. Jesteś uczciwym, honorowym człowiekiem.

— Czy mógłbyś używać tego bogactwa, wiedząc, że nieprawnie ono ci się należy, i że prawa ich właścicielka pracuje na chleb i cierpi ubóstwo? Znam Helenkę na tyle i wiem, że darowizny nie przyjęłaby ani od ciebie, ani ode mnie! Mieszka u nas, bo zmusiłam ją do tego, korzystając z jej niepełnoletności. Ale od czasu, gdy zauważyła, że zająłeś się Romą, zaczęła brać lekcje i przygotowuje się do matury.

— Daj mi czas, mamo, do namysłu... — prosił.

— Masz rację, teraz, gdy wiem, że jestem nieprawym synem, nie mógłbym używać tego majątku, ale żenić się z Helenką, gdy cała moja istota ogarnięta jest miłością do Romy, gdy każdy nerw drży pożądaniem jej, jest narazie ponad siły. Rozpłakała się. Łzy duże jak groch, palące i gorzkie spływały jej po twarzy.

— Nelu, czy myślisz, że łatwo mi przyszło to wyznanie. Latami walczyłam z myślą — powiedzieć, czy nie, przeszłam całe piekło udręki duchowej nim zdecydowałam się wyznać ci prawdę... Gdyby Helenka się była nie urodziła, gdyby umarła dzieckiem, milczałabym i tajemnicę swą zaniosłabym do grobu.

Wstał, pochylił się nad matką i pocałował ją w rękę. Ogarnęła go ramie-



Jedna z angielskich jeźdczyń wyścigowych niezbyt szczęśliwie zaczęła tegoroczny sezon, jak to widzimy na zdjęciu.

niem i tuliła długo i mocno, a pierś jej podnosiło tłumione łkanie.

* *
*

Nie widział go nikt dnia następnego. Ani matka, ni Roma, ani Helenka. Noc całą paliło się u niego światło w pokoju. O brzasku dnia letniego wyszedł, gdy dom cały pogrążony był w śnie, wyprowadził samochód z garażu i odjechał, nim ktokolwiek ze służby zauważył to.

Koło południa Roma wpadła do pałacu zadąsana. Nie był rano u nich, nie przyjechał konno jak codziennie. Po wczorajszem rozstaniu spodziewała się go jeszcze przed śniadaniem, a tymczasem nie zjawił się.

Zaniepokoiło ją to, więc nie namyślając się kazała osiodłać konia i pojechała do Zador.

Podobał jej się Nel, ale jeszcze więcej nęciło ją bogactwo jego. Ich Stachów obciążony był długami, przewyższającemi jego wartość. Liczono się tam z groszem, oszczędzano na każdym kroku, a ona chciała żyć i używać.

Włodkowi pomagał ich stryj, jego chrzestny ojciec. Łożył na jego wykształcenie i pobyt zagranicą, wyznaczył mu stałą pensję dodatkową, wypłacaną kwartałami, którą wysyłano mu wprost do Konstantynopola.

Ona zaś musiała stosować się do warunków materjalnych rodziców, odmawiać sobie wielu rzeczy i oszczędzać.

Małżeństwo z Nelem niosło jej wizję życia bez trosk i możność bawienia się i strojenia.

I parła do tego całą siłą i bała się, by coś nie stanęło jej na przeszkodzie.

— Czy Nel w domu? — spytała Helenki ujrzawszy ją w ogrodzie, obcinającą róże.

— Nie, — odpowiedziała dziewczyna, witając przymuszonym uśmiechem przybyłą. — O świcie wyjechał z domu i dotąd nie wrócił.

Uspokoiła się Roma. — Nie był, bo nie mógł. To już wszystko w porządku — pomyślała, siadając na ławeczce. Krytycznem spojrzeniem obrzuciła stojącą przed nią rówieśniczkę. — Gdyby ten wieszak ubrać w gustowną elegancką sukienkę, byłaby z niej nawet niczego panna, — przebiegło jej przez myśl, gdy przyglądała się koleżance.

— Ma ładny odcień włosów starego złota i te oczy szmaragdowe w ciemnej oprawie. —

— Żeby nie była taka chuda, cerę miała lepszą i umiała się uczesać do twarzy i dobrać kolory odpowiednie do swej cery, mogłaby się stać dla mnie groźną rywalką. A tak...

Ucieszyła się wewnętrznie swej urodzie kolorowej, żywej, rzucającej się w oczy, wyzywającej.

I z tej uciechy zrodziła się pewność, że wkrótce będzie panią tego pałacu i bogactwa.

— Co masz zamiar robić, jak Nel się ożeni? — zagadnęła koleżankę.

Helenka przybladła lekko i zamrugała nerwowo powiekami.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedziała wahająco — Chciałabym zdać maturę i iść na humanistykę, naturalnie o ile będą miała na to środki, o ile wujenka poprze mój zamiar.

— Prawdopodobnie żal ci będzie opuścić tę śliczną, pańską rezydencję — ciągnęła niedbałym tonem Roma.

— Nie, — odpowiedziała — zbyt magnacka to rezydencja, bym się w niej czuła dobrze na stałe. —

— Różne mamy gusta — zauważyła Roma — ja czuć się tu będą jak ryba w wodzie.

Serce Helenki zadrgało boleśnie.

— Więc już są po słowie!

Z trudem wstrzymywała łzy, cisnące się jej do oczu.

— Nie będzie płakać, nie pokaże swego bólu tej ładnej, zarozumiałej dziewczynie, której los same kwiaty szczęścia i miłości sypał pod nogi od dzieciństwa.

Opanowała się i wywołała uśmiech na blade usta.

— Ty się nadajesz do tego otoczenia, gdy tymczasem ja...

— Będę dla ciebie wspaniałomyślną kuzynką — zauważyła łaskawie zarozumiała, pewna siebie dziewczyna.

— Dziękuję ci, ale starać się będę, by jak najmniej wam się narzucać — odpowiedziała sztywnie.

Roma spojrzała na zegarek: — Boże, jak późno. Uciekam...

Musnęła ją w przelocie pocałunkiem i bijąc szpicrutą po eleganckich butach od „Hiszpańskiego“, zręczna i zgrabna w obcisłych „briczesach“ podeszła do konia, oprowadzanego naokoło gazonu przez chłopca kredensowego.

— Powiedz Nelowi, jak wróci, że czekam na niego — wołała do Helenki już z konia.

— — — — — —

Helenka, gdy Roma wyjechała za bramę, usiadła ciężko na ławce. Trzymane w ręku róże rozsypały się na ziemię.

— Więc już się stało! Więc narzeczeństwo Nela z Romą to fakt dokonany! — Oczekiwała tej wiadomości, z dnia na dzień, była na nią przygotowana, a mimo to uderzyła ona w nią jak grom, wypłoszyła wszystkie myśli z głowy, prócz tej jednej: — Nel żeni się! —

Nie słyszała szybkich kroków na żwirze i drgnęła gwałtownie na dźwięk głosu Emilji.

— Panienko, jaśnie pani zachorowała. Coś z sercem niedobrze.

Poderwała się z miejsca. Przygnębienie pierzchło, wypędzone troską o wujenkę.

Biegła do domu. Lekko jak ptaszek przebyła schody, przeskakując po dwa naraz, na palcach weszła do pokoju ciotki, która leżała na łóżku z zamkniętemi oczami, blada, wstrząsana dreszczami. Cicho na palcach wyszła z pokoju, i biegła do telefonu. Niecierpliwie naciskała widełki i kręciła korbką.

— Doktorze, proszę natychmiast przyjechać. Ciocia zachorowała nagle, boję się, że to atak sercowy.

Wróciła znów do ciotki. Uklękła przy niej i badała puls. Bił słabo nierównym, urywanym tentnem.

Emilja zmieniała okłady na głowę i serce, płacząc cicho.

Nareszcie doktór! Fachowe, wprawne ręce dotknęły pulsu, serca, dźwignęły chorą, palcami uniosły powieki.

Zastrzyk, mocna kawa, krople zdziałały, że chora uniosła opuszczone powieki, uspokoiły się drgawki, wzmocniło tentno serca.

Wyszedł z Helenką do drugiego pokoju.

— Gdzie pan Dworanowicz? — rzucił pytanie.

Rozłożyła bezradnie ręce. — Nie wiem. Wyjechał rano, nie mówiąc dokąd. —

— Źle — pokiwał głową doktór. — Lepiej, żeby tu był. —

— Czy z wujenką tak źle? — przeraziła się.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

6.

— Eh, eh!... Bardzo się od nich oddalamy właśnie. Czujesz chyba, jak się ociepliło, mgła niknie, za to chmury kłębić się zaczynają coraz czarniejsze. Za godzinę, jeżeli nie wcześniej, deszcz spadnie z pewnością.

— Jeżeli o to chodzi, to deszcz już pada zaczyna. Oto pierwsza jego kropla na mym rękawie. Lecz cóż nas to obchodzić może? Z cukru przecież nie jesteśmy!...

Słowa Nalewajki: „deszcz już pada“, podziałały na Lekoka jak uderzenie bata. Popędził galopem, wołając:

— Spieszmy się!... Prędzej, prędzej!

Stary wiarus, mimo utrudnionego oddechu, popędził również kłusem, aczkolwiek nic a nic nie rozumiał.

— Na honor — odezwał się wreszcie — przyznać muszę, iż nic nie pojmuję.

Młody policjant zlitował się nad jego ograniczeniem.

— Jakto!... — rozpoczął wyjaśnienie, nie przerywając biegu — czyżbyś istotnie nie zdawał sobie z tego sprawy, że od tych chmur zależy los naszego śledztwa, awansów naszych i naszej gratyfikacji?

— Oho... ho! — z niedowierzaniem odezwał się inwalida.

— Niema żadnego „oh“ i „ach“, gdyż istotnie grozi nam zagłada naszych marzeń i projektów. Wystarczy dwudziestu minut drobnego deszczu, a wszystkie nasze trudy i zabiegi pójdą na marne. Gdy deszcz padać zacznie, śnieg szybko topnieć będzie, a z nim — i wszystkie nasze znikną dowody. Prawdziwy fatalizm! Chodźmy więc, chodźmy jaknajprędzej! Jest ci wiadome przecież, że słowa nasze nie będą miały żadnego znaczenia, jeżeli nie będziemy mieli możności poparcia ich dowodami. Na nic się zdało powiedzieć sędziemu, iż widzieliśmy ślady takie, a takie, gdyż natychmiast nas zapyta: „ślady? — a gdzie są one?“ Co odpowiemy wtedy? Będziemy musieli pospuszczać nosy na kwintę.

– Ach!... gdybyż to można było ślady nasze, tak piękne, czyste i wyraźne, utrwalić jakimś cudownym sposobem! Gotówbym był przelać w nie krew swą własną, byleby ona w nich stężała.

Nalewajka przyznawał sobie w duchu, iż jego udział w dochodzeniu był, jak dotychczas mizerny. Nagle przyszła mu do głowy myśl istotnie doskonała.

— Ja wiem — zawołał co czynić należy, ażeby utrwalić ślady na śniegu pozostawione!

Na te niespodziewane słowa Lekok stanął jak wryty.

— Jest ci znany sposób taki? — zawołał gwałtownie.

— Tak jest. Wynaleziono sposób ten w czasie prowadzenia śledztwa w sprawie „Białego Domu“, które to śledztwo toczyło się w grudniu, przed kilkunastoma laty.

— Przypominam je sobie.

— Otóż na dziedzińcu domu tego znaleziono ślad na śniegu, który, zdaniem sędziego śledczego był wszystkiem w tej sprawie. By go utrwalić, sprowadzono na miejsce zbrodni jednego z najsławniejszych chemików, no i ten ślad ów utrwalił przewybornie.

Lekok cały drżał z niecierpliwości.

— Ależ gadaj żywo, jak się do tego wzięli? — zawołał szorstko.

— Jak?... Powiem zaraz, jeżeli tylko sobie przypomnę. Otóż bierze się klej w najlepszym gatunku, następnie moczy go się parę godzin w zimnej wodzie, a gdy rozmięknie, topi go się ostrożnie na bardzo wolnym ogniu, by się przetworzył w umiarkowanie gęstą papkę, nie za gęstą i nie za rzadką, lecz w sam raz. Wtedy płyn ten leje się ostrożnie w ślad pozostawiony i sprawa skończona!

Po usłyszeniu tych słów, Lekok wzruszył tylko z niecierpliwością ramionami, jak człowiek, który tracił czas napróżno i rzekł cierpko:

— Sposób ten jest ogólnie znany i znaleźć go możesz w każdym podręczniku. Dobry jest niezaprzeczenie, my go jednak nie możemy zastosować, niestety. Kleju bowiem nie mamy i nigdzie go nie dostaniemy po nocy, przecież, stary niedołęgo!

Po wygłoszeniu słów tych tonem podnieconym, Lekok znów biec zaczął w głuchem milczeniu, tak, iż bez zamienienia jednego już słowa więcej dotarli do szynkowni ciotki Szupe.

Pierwszą myślą starego było usiąść i wypocząć, odetchnąć swobodnie, Lekok wszelako nie pozwolił mu na to.

— Nuże do roboty — woła — podaj mi natychmiast jakiekolwiek naczynie: półmisek, rondelek, lub coś podobnego. Podaj mi następnie wody. Pozbieraj wreszcie wszystkie skrzynie, paki, deski i pudełka, jakie się tylko znajdą w domu.

Gdy stary wziął się do wykonania wydanych rozkazów, Lekok zabrał się do zeskrobywania tynku ze ścian.

Jego umysł, wyprowadzony chwilowo z równowagi obawą zniszczenia śladów, pracował już prawidłowo. Już znalazł radę, sposób... wziął się do zrealizowania pomysłu i... miał nadzieję.

Gdy zeskrobał ze ścian do dziesięciu garści tynku, połowę zebranego w ten sposób materjału rozpuścił w wodzie, tak, iż utworzyła się z tego umiarkowana gęsta masa, pozostałą zaś resztę tynku odłożył na bok, przesypując ją na oddzielny talerz.

— Teraz, ojczulku, chodźno mi poświęcić — zawołał.

Gdy się znaleźli w ogrodzie, młody adept policyjnej sztuki wyszukał ślad najwyraźniejszy i najgłębszy, ukląkł nad nim i rozpoczął próbę.

Nasypał naprzód na odcisk warstwę suchego gipsu, a następnie, przelewać zaczął w formę tak przygotowaną tynk w wodzie rozrobiony, przesypując masę wlewaną suchym tynkiem wielokrotnie.

Nie długo czekał, by się przekonać, iż próba się udała. Gips stężał i tworzył jednolity blok, doskonał. formę utrzymujący.

Zachęcony powodzeniem zabrał się do utrwalenia innych śladów i po godzinie pracy był w posiadaniu sześciu form, wszystkich trzech par stóp.

Gdy skończył, deszcz zaczął padać ulewny. Jego pośpiech nie był więc daremny.

Deskami, pakami, staremi pudłami itp. rzeczami zabezpieczył od zniszczenia inne ślady. I wtedy dopiero odetchnął swobodnie.

Mógł ze spokojem teraz oczekiwać przybycia sędziego śledczego.

VII.

Lekok wraz ze swym towarzyszem więcej niż cztery godziny stracili na tropieniu śladów dwóch kobiet.

Przez cały ten czas szynk ciotki Szupe stał dla każdego otworem.

Młody policjant, po powrocie, spostrzegł odrazu błąd, jaki popełnił, pozostawiając dom bez żadnego nadzoru. Nie zatrwożył się tym jednak zbytnio. Któż mógł zajść po północy do tego na pustkowiu się znajdującego szynku? Jego złowroga sława, jaką się cieszył w okolicy, była jakby murem, który go odgradzał od wszystkich. Najśmielsi bandyci zastanawiać się zwykli, zanim się wejść ośmielili do tej istotnej jaskini zbrodniarzy. Złodzieje „pieprzowi“, — nawet dla bandytów byli niebezpieczni.

Było więc rzeczą więcej niż wątpliwą, by do nory tej, w czasie nieobecności ajentów, wejść ktośkolwiek się odważył.

Przez sekundę młody ajent zastanawiał się nad wszystkiem i temi możliwościami. Nalewajce jednak nie wspomniał o nich jednem słowem choćby.

Był bardzo niezadowolony ze swego postępowania. Czegóż takiego dokonał? Jego dotychczasowe zabiegi w finalnym wyniku dały okrągłe zero ostatecznie. Jego sposób prowadzenia śledztwa olśnił może starego Nalewajkę, ale przecież zacny ten człeczyna, był głupi jak mops. Czyż tryumf taki miał mu wystarczać? Prawda, iż uchwycił może nitkę, lecz do kłębka było bardzo jeszcze daleko.

Rozmyślając tak, przysiągł sobie, iż musi się wyzbyć swej zarozumiałości, z próżności się wyleczyć, a przynajmniej — dołoży wszelkich starań, by wady zredukować do minimum.

To też więcej niż skromnym tonem, pokornym nieomal, odezwał się do swego towarzysza:

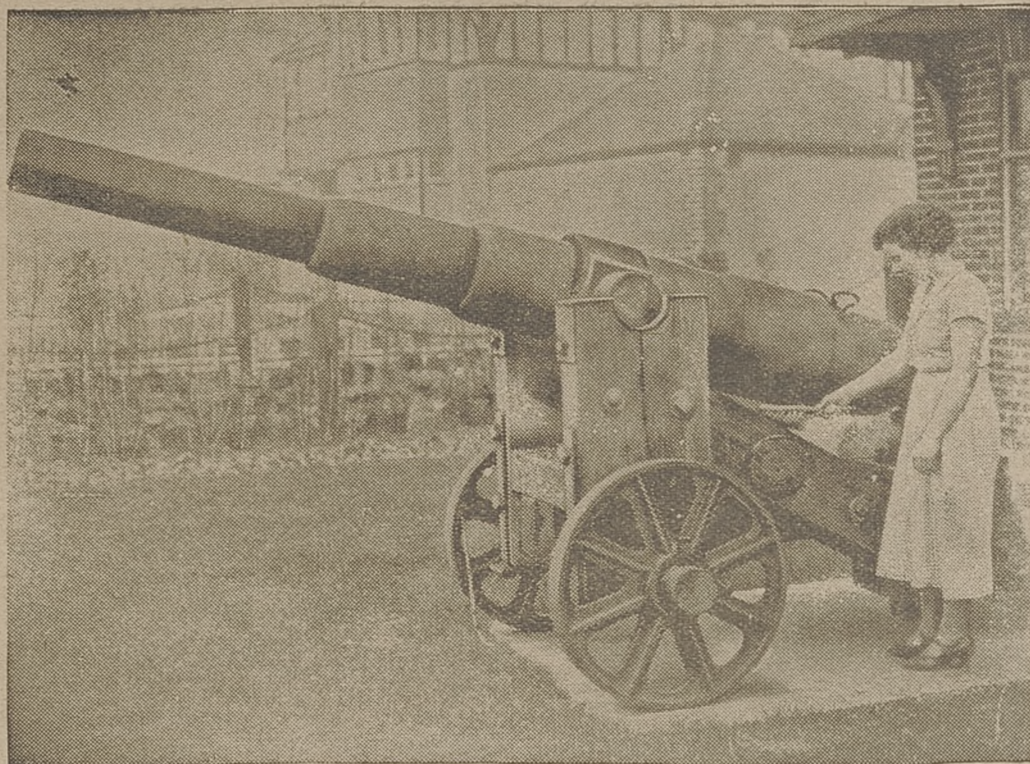
— Skończyliśmy robotę na zewnątrz, możebyśmy więc teraz rozpatrzyli się nieco we wnętrzu?

Rozgorzały dotychczasowem powodzeniem Nalewajka, zgodził się na to bez żadnych zastrzeżeń.

Wszystko tam zdawało się być w tym samym stanie, jaki był przed wydaleniem się z szynku ajentów. Łojówka z dymiącym knotem oświecała czerwonymi połyskami swymi ten sam nieład, jaki był poprzednio, i te same trzy trupy, bardziej stężałe już tylko.

Nie tracąc chwili, Lekok zaczął zbierać i badać starannie wszystkie przedmioty w izbie się znajdujące.

Pierwszym przedmiotem, który zwrócił jego uwagę, były szczątki salaterki oraz wielka łyżka żelazna, uszkodzona i zgięta, co wskazywało, iż służyć musiała jako broń w czasie bójki.



Kapitan armji angielskiej W. Lane nie może się rozstać nawet w życiu prywatnem z insygniami wojskowemi. Dlatego też zakupił kilka starych armat, któremi upiększył swój ogród.

Jak wskazywały resztki w salaterce towarzystwo raczyło się gorącem winem, zaprawionem cukrem i korzeniami, co jest ulubionym napitkiem wśród bywalców szynkowni na przedmieściach.

Obok salaterki walało się na podłodze pięć potężnych szklanek z grubego szkła zielonego, które z pozoru zdają się być tak wielkie, że pół butelki mieścić się zdają w swem wnętrzu, gdy w rzeczywistości mają objętość nie większą, jak normalny kieliszek.

We wszystkich tych szklannicach znaleźć można było resztki tego samego wina na gorąco.

Fakt ten zastanowił Lekoka.

Dowodził on niezbicie, iż aż pięć osób w przyjaznej zgodzie opróżniało jedną i tą samą salaterkę.

— Ho!... ho!... — zawołał Lekok do siebie w różnej tonacji — czyżby te kobiety ucztowały tutaj z tymi pomordowanymi zuchami?... To znaczy, iż nie przyszły one z mordercą?...

Szósty kieliszek, mniejszy, leżący w innym kącie sali, zdawał się potwierdzać to ostatnie przypuszczenie. Była w nim słodka wódka.

Morderca więc pił sam.

Kobiety owe nie były z mordercą przeto, lecz z pomordowanymi właśnie. Więc tamten nie dlatego rozpoczął bójkę, że je przy nim zelżono.

Wszystkie dawniejsze przypuszczenia Lekoka rozpadały się w proch. Nie pozostawało z nich nic.

Było to dotkliwe niepowodzenie, nad którem cierpiał mocno, gdy w tem głośny krzyk Nalewajki wyrwał go z zamyślenia.

Młody policjant odwrócił się błyskawicznie i ujrzał starego wiarusa bladego, z wyrazem przestrachu w oczach.

— Cóż tam takiego? — zapytał Lekok.

— Tutaj ktoś był w czasie naszej nieobecności!

— Niepodobieństwo!

A jednak było to prawdą.

Jak czytelnicy może sobie przypominają, Żewrol zdarł z głowy fartuch ciotce Szupe, zmuszając ją tym do zaprzestania szlochów. Fartuch ten rzucił on w kąt i żaden z ajentów nie dotykał go następnie. Otóż fartuch ten leżał teraz na stopniach schodów, przyczem jego kieszenie były poodwracane.

Dowód oczywisty, iż ktoś je plądrował.

— Któżby to mógł uczynić? — zawołał Lekok, marszcząc brwi w skupieniu myśli... Złodzieje?... Ależ to nie możliwe!

I zapadł w zadumę głęboką, której stary ajent nie odważał się przerywać.

— Tak... nikt inny, tylko on był tutaj — powiedział po chwili. — On, wspólnik. Lecz jestto bądź co bądź, tylko hipoteza, ja zaś mieć muszę całą co do tego pewność. I mieć ją będę.

Szukali jednak bardzo długo, więcej niż godzinę — napróżno. Nakoniec pod drzwiami, wysadzonemi potężnem ramieniem Żewrola, znaleźli ten sam odcisk buta, którego liczne ślady widzieli w polu i przy zwalonych kłodach. Nie mogło to ulegać najmniejszej wątpliwości ponieważ odcisk ten miał tę samą ilość gwoździ w obcasach, co i tamte w polu.

— To był tedy on niewątpliwie — rzekł z wybuchem gniewu Lekok — śledził nas najwidoczniej, zobaczył, żeśmy się z domu wydalili, a wtedy wszedł do wnętrza. Z jakich przyczyn wszelako? Co za pałąca potrzeba zmuszała go do uczynienia tego kroku, bądź co bądź, szalonego?... boć przecież groziła mu bardzo duża odpowiedzialność, gdyby tak został schwytany!...

Pochwycił dłoń wiarusa, ścisnął ją z całej siły, i zawołał z mocą:

— Co go do tego zmusiło? Ach!... już wiem! Już wiem teraz. Tutaj musiano coś zostawić, zapomnieć, zgubić... Musiał się tutaj znajdować jakiś dowód, który mógł rozjaśnić tę całą tajemniczą sprawę. I on się poświęcił, by ten dowód pozyskać. A więc z mojej winy, z mojej tylko winy, dowód ten już nie istnieje, został dla sprawiedliwości stracony. I ja uważam się za zdolnego! Cóż to za okropna nauka dla mnie! Należało chociaż drzwi zaryglować starannie! Ostatni dureń by tak uczynił!... a ja.

Zamilkł nagle wpatrując się źrenicą w jeden kąt izby.

— Co ci się stało? — zapytał przerażony Nalewajka.

— Moja karygodna lekkomyślność nie zasłużyła na takie wyjątkowe szczęście! — zawołał Lekok w odpowiedzi.

I jednym skokiem rzucił się do najciemniejszego kąta, padł na kolana, a po chwili powstał, trzymając w palcach kolczyk brylantowy, „buton", jak je jubilerzy nazywają.

Brylant ten — powiedział, po uważnym zbadaniu go — jest pierwszej wody i jest wart conajmniej dwadzieścia tysięcy franków.

— Co?... ten kamyczek miałby kosztować tak wielką masę pieniędzy? — z niedowierzaniem powiedział Nalewajka.

— Mam wrażenie że się nie mylę — odpowiedział Lekok.

Jeszcze przed godziną, byłby powiedział: „napewno". Po fatalnym błędzie, jaki popełnił, był już ostrożniejszy.

— „Wspólnik", jak go nazywasz, przybył przeto po ten kolczyk zapewne?...

— Nie jest to wykluczone. Myślę jednak, iż przybył on tu po coś innego. Gdyby szukał brylantu, nie przetrząsałby przecież fartucha ciotki Szupe. Szukał on więc czegoś innego... Listu naprzykład...

Ale stary policjant nie słuchał tych wywodów. Oglądał brylant, który pochłonął całą jego uwagę.

— I pomyśleć — odezwał się po chwili — iż w „Pieprzniczce" — ciotki Szupe bywają damy noszące kolczyki wartości czterdziestu tysięcy para! Kto mógłby pomyśleć coś podobnego!

Młody ajent wstrząsnął głową zadumany.

— Tak, masz słuszność — powiedział — że jest to nieprawdopodobne, nie do uwierzenia, niemożliwe... A jednak jest faktem. I myślę, iż w sprawie tej zobaczylibyśmy więcej podobnie zdumiewających rzeczy, jeżeli tylko udałoby się zedrzeć z niej zasłonę, co wydaje mi się zresztą rzeczą wprost niemożliwą.

VIII.

Na poszukiwaniach tych zbiegła ajentom długa noc zimowa i dzień zwolna rozświecać zaczął mroki szynkownej izby.

Lekok tymczasem porządkował ostatecznie wszystkie zebrane dowody, a następnie wziął się do redagowania raportu, w którym skreślił wszystkie fakty przez siebie zauważone, przyczem jednak najstaranniej usuwał w cień swą osobę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

WSZYSTKO ZAŁATWIONE

„Maleńka Tajemnica." Sprawa pseudonimu załatwiona. List wysłałam, no i wierszyk został wydrukowany. Jednem słowem wszystko w porządku. Dziękuję w imieniu Wujka Janusza za pozdrowienia i odwzajemniam pocałunki.

LISTY

W redakcji są listy dla: „Hak-Boja" — „Skini z Torunia" — „Wanduli" — „Wesołego Łobuza" — „Rodowitej Kaszubki" — „Janka z pod Buku" — „Muzykalnej Szatynki" — „Promyka Puszczy Tocholskiej" — „Spartanina" — „Laleczki P." — „Bławatka z pod Śremu" — „Janeczki" i „Delfina z nad Bałtyku", prosimy więc o dokładne adresy.

HALLO „MOZAJKO"!

„Mozajka." Proszę o dokładny adres, gdyż w redakcji jest list dla Pani.

ODCHODZISZ...

Odchodzisz, mała, tak źle jest bez ciebie,
jeszcze twe kroki, jeszcze ciebie słyszę...
potem samotność złowróżebną ciszą
wkrąg mnie otoczy, przygarnie do siebie.

Odchodzisz, mała, ale wróć prędziutko,
bo tak, jak dziecię do swojej matuli,
tęsknię i pragnę z Tobą się poczulić,
gdy ciebie niema, jest mi źle i smutno.

Bo komuż troski swe, radości zwierzę,
tak szczerze powiem, co boli i cieszy,
kto zawsze w smutku, i trudach pocieszy,
do kogo z memi marzeniami bieżę?

Już wracasz, mała, schody znowu dudnią,
tak prędko biegniesz, że twój oddech słyszę...
I nowa radość serce me kołysze,
że wraca szczęście falą marzeń cudną.

Gabi — Heluśka.

Gniezno, w marcu 1935 r.

NIE MYŚL...

Nie myśl, że świat jest gdzieś tam, daleko,
Gdzie wyrywa się marząca dusza...
I tam — samotność głusza
Gromadzi łzy komuś pod powieką...

I tam — marzy ktoś, że świat jest tutaj,
Łudząc się, że tu — niema złej doli,
Że nikogo — tu — serce nie boli...
— — To zwid szczęścia, z fantazji wysnuty.

Danuta Wyrybkowska.

MOŻESZ GO ZATRZYMAĆ

„Ryśka D." Kochana Dziewczynko! Pseudonim Twój jest dobry. Możesz go zatrzymać nadal.

Fotografji nie potrzebujesz nikomu darować, o ile nie masz ochoty. Będzie to tylko zależało więc od Ciebie.

Widzę, że Ci bardzo wesoło. Podziwiam tę pomysłową ekapadę do Warszawy... Bujne są te kochane szkolne lata i nigdy niezapomniane! Rozumiem Cię doskonale, bo i ja byłam uczenicą. Żegnaj i pisz, możesz i na papierze z inicjałami i na zwykłym, byle szczerze.

CZEKAM

„Zosia S." Przyjmuję z miłą chęcią nową Czytelniczkę „Moich Powieści" do „Krainy." Pragnę, aby się Pani w naszem gronie czuła dobrze i czekam na opisanie tych „ciekawych rzeczy." Serdecznie pozdrawiam.

PROSZĘ O ADRES!

„Bajka." Brakujący numer „Moich Powieści" może Pani nabyć w naszej administracji. Opłatę można załączyć w znaczkach. Proszę o nadesłanie adresu, gdyż w redakcji jest list dla Pani. Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i odwzajemniam pocałunki.

KORESPONDENCJA W JĘZYKU FRANCUSKIM

„Novarro" przesyła pozdrowienia: „Złamanemu Fiołkowi Alpejskiemu" i „Dzikiej Cygance."

W numerze 7 „Moich Powieści" na okładce jest bohaterką filmu: „Cóż dalej szary człowieku...", a nie osoba, o której Pani myśli.

Poniżej zamieszczam apel Pana:

„Hallo! Hallo! Kto z Szanownych Czytelniczek czy Czytelników chciałby korespondować w języku francuskim, ten niech przesyła listy do „Novarro". Odpowiedź murowana!"

„MOŻE UKOJĄ MOJĄ TĘSKNOTĘ..."

„Smutna Waldi." Cieszyłabym się bardzo, gdybym zdołała choć w małej mierze przyczynić się do ukojenia tęsknoty Pana. W każdym razie zrobię, ile w mej mocy. Podaję krótki wyjątek z listu Pana, który będzie, sądzę, wymowniejszy od mego apelu:

„Jestem 23-letnim blondynem, o niebieskich oczach, muzykalnym, o subtelnej — wrażliwej duszy, kochającym wszystko, co dobre. Będąc we wojsku (artylerja lekka), przechodziłem ciężką chorobę (zapalenie opon mózgowych), z której Bogu dzięki wyszedłem bez jakichkolwiek następstw. Zostałem tylko zwolniony po 8 miesięcznej służbie. Obecnie jestem w domu i nie mogę powiedzieć, że mi się dobrze dzieje. Mam wszystko co dusza zapragnie — ale, brak mi bratniej duszy. Jednem słowem — źle mi na świecie; tęsknię za czemś... Mniejsze jednak z tem — może za pośrednictwem Szanownej Pani — ukoję moją tęsknotę."

APEL DO POMORZAN

„Ludka." Dziękuję za kilka słów skreślonych na pocztówce. W tych dniach wysłałam liścik dla Pani, myślę, że zdążyła już Pani dać na niego odpowiedź.

A teraz zwracam się do Pomorzan, by zechcieli skreślić parę słów dla „Ludki."

BĘDZIE NAJLEPIEJ

„Tonia Altruistka." Dzisiaj odpowiadam Pani na list przedostatni.

Najpierw kilka słów dotyczących kuzynki Pani. Ponieważ to sprawa czysto ogłoszeniowa, najlepiej będzie, gdy Kuzynka da odpowiedzi osobiście, na pocztówkach lub listownie. Ogłoszenie drugie dałam w ostatnim numerze „Moich Powieści", a pozatem wysłałam nową serję ofert z pierwszego ogłoszenia. Czy tym razem sprawiły zadowolenie czy nowy zawód?

Dziękuję za przesłanie fotografji. Bardz miła. Zwróciłam ją zgodnie z życzeniem odwrotną pocztą. Czekam na nowe wiadomości i łączę pozdrowienia dla Pani i Kuzynki.

KORESPONDENCJA

„Helżunia" pisze: „Jestem 22-letnią ciemnoblondynką, bydgoszczanką, o niebieskich oczach i średniego wzrostu, na urzędniczej posadzie.

Pragnę należeć do grona Sympatyków „Krainy" i za pośrednictwem Pani nawiązać korespondencję z Czytelnikiem „Moich Powieści."

Do „Krainy" przyjmuję Panią, chociaż nieco późno, ale serdecznie. Pierwsze życzenie więc spełnione, a drugie zapewnie wkrótce. Łączę miłe pozdrowienia.

NAJLEPSZYM DOWODEM

„Herszt." Obawy i skrupuły Pana są bezpodstawne, najlepszym dowodem otrzymane liściki. Miło mi będzie otrzymywać częściej listy od Pana. Może w następnym dowiem się, czy korespondencja przynosi Panu dużo zadowolenia? Przesyłam Panu dużo pozdrowień i wyrazów serdeczności.

NIECH PRZECZYTAJĄ GO WSZYSCY

„Sygurd" i „Tamara." „Idealista Pałucki" i „Sfinks" nie przesłali nam dotychczas swych adresów. Skoro jednak to nastąpi, natychmiast listy przekażę.

List Wasz, Drodzy Sympatycy, sprawił na mnie niezwykle miłe wrażenie. Chociaż Was nie znam osobiście, wyobrażam sobie Was doskonale. Nie mogę również oprzeć się pokusie oddania Waszego listu do przedruku — niech przeczytają go wszyscy, wszyscy:

„Droga Pani! Spodziewam się, że Pani nie odmówi naszej prośbie i prześle załączone listy dla „Sfinksa" i „Idealisty Pałuckiego" pod ich właściwemi adresami.

Obserwując życie „Krainy szczerości i naszych trosk", przekonałem się, że Sympatycy tego działu nawzajem radzą sobie i pocieszają się w smutkach, strapieniach i rozterce.

I nas los nie omija w smutkach i swym przeznaczeniu. Nieraz są chwile tak tęskne i rzewne, nieraz tak brak nam ukojenia i rozrywek, zwłaszcza, że żyjemy na wsi tylko z siostrą.

Siostra to 18-letnia szatynka o czarnych oczach, ja mam lat 24, jestem również szatynem o piwnych oczach. Oboje jesteśmy średniego wzrostu. Ja pracuję jako urzędnik prywatny, a siostra spełnia wszystkie czynności począwszy od służącej aż do pani domu. Oboje mamy wykształcenie średnie.

Przez „Krainę szczerości" za protekcją Pani chcielibyśmy nawiązać korespondencję z kimś, ktoby nas zrozumiał. Dlatego też przesyłamy te dwa listy po Pani z prośbą o doręczenie. A gdybyśmy w ten sposób nie mogli znaleźć sobie bratnich dusz, wówczas będziemy mieli inną prośbę do Pani. Czy nie zadużo żądamy? Miłe pozdrowienia przesyłają

„Sygurd" i „Tamara."

„LUBIĘ PISAĆ LISTY"

„Elżunia z Torunia." Za fotografję ślicznie dziękuję. Cieszę się, że „Moje Powieści" podobają się Pani, odwzajemniam tyle serdeczności ze strony Pani i umieszczam poniżej kilka zdań z liściku:

„Jestem rodowitą Torunianką, jedynaczką, szatynką o czarnych oczach. Uwielbiam muzykę i taniec. Lubię pisać listy, a ponieważ mam dużo czasu, nawiążę chętnie korespondencję z „siostrzyczkami" lub „braciszkami". Odpowiedź murowana. Ponadto mam zamiar zaprosić którąś z „siostrzyczek" na letnie wakacje, może mi nie odmówi?

Dla „Żołnierza" łączę miłe pozdrowienia z prośbą, by napisał do mnie parę słów."

ANI MYŚLĘ!

„Aniteńka." Cudowne! Odrazu ukłony — i to z Warszawy — od „Aniteńki." Dziękuję ślicznie! Czy otrzymam dłuższy list z wyczerpującemi wiadomościami?...

Sądzę, że student „Salus", skoro się dowie, że zainteresował „Aniteńkę", skreśli do Niej kilka miłych słów.

„Ikony" nie podrę, choćby „Aniteńka" prosiła jak najgoręcej. Ani myślę! Natomiast cieszę się bardzo, że wkrótce będę miała dwa. Pa!

NAPEWNO

„Wanda." List do „Blondyna z Pomorza" wysłałam. Jeżeli Pani pisała już do „Krainy", napewno zostanie przyjętą. Myślę, że jeszcze kolej nie przyszła na list Pani. Serdecznie pozdrawiam.

NIECH PAMIĘTA

„Czyste — kwitnące serce", to młodzieniec średniego wzrostu, ciemno-blondyn, maturzysta, z krwi i kości wieśniak. Od dłuższego czasu mieszka na wsi, na odludziu. Ponieważ osamotnienie porządnie mu się dało we znaki, pragnie nawiązać z kimś korespondencję.

Która więc z miłych Czytelniczek rozporządza dowolną ilością czasu, niech pamięta o Samotniku i skreśli mu kilka wesołych, słonecznych słów.

SMUTNO JEJ

„Wodna Lilja“ bardzo lubi śpiew, muzykę, a szczególnie taniec. Mieszka na wsi. Smutno Jej, gdyż nie ma wogóle znajomości. Można to jednak naprawić, Miła Dziewczynko. O to postarają się zresztą pełni humoru Sympatycy „Krainy.“

Czy „Moje Powieści“ przychodzą teraz punktualnie? Sądzę, że tak!

PRAGNĘ PANU POMÓC

„Zdzież.“ Wzruszył mnie ogromnie list Pana. Nie uwierzy Pan, jak chętnie chciałabym mu pomóc. Zrobię jednak wszystko co w mej mocy. Równocześnie proszę nie tracić nadziei w lepsze jutro. Zobaczy Pan, że będzie lepiej, zawsze przecież źle być nie może.

W sprawie posady radzę Panu zamieścić ogłoszenie w „Moich Powieściach“. Dajemy już począwszy od 50 gr. Pieniądze może Pan przesłać w znaczkach. Gdy to nie poskutkuje — pomyślimy dalej.

Brakujące numery „Moich Powieści“ może Pan nabyć w administracji. Rocznik kosztuje 9,50 zł.

Pozdrawiam Pana serdecznie i czekam na echo mych słów.

BARDZO MIŁA WIADOMOŚĆ DLA „SZAREGO SOKOŁA“

„Arkadjusz“ — „Tadeusz“ — „Mateusz.“ Zkolei ja przesyłam Panom uznanie za dobre serca. Postąpili Panowie bardzo szlachetnie, przesyłając bezinteresownie prenumeratę na „Moje Powieści“ dla „Szarego Sokoła“. Wyobrażam sobie, jaka to miła wiadomość będzie dla Niego, temwięcej, że tak bardzo przywiązał się do „Moich Powieści.“

Do „Rodzinki“ przyjmuję Panów chętnie i przedstawiam poniżej „gdyńską trójkę“:

„Arkadjusz“ to wysoki, mówią, że przystojny szatyn, zawsze pełen werwy i humoru, szczery i trochę romantyk.

„Tadeusz“ również szatyn, handlowiec, poważny, starający się być zawsze „correct.“ Lubi wszystko co dobre i szczere, przytem ładne. Załącza uznanie dla „Dzinki“ za wiersz p. t. „Miłość“.

„Mateusz“ jest blondynem, urzędnikiem, wesołym i przystojnym. Narzeka na nudy i brak towarzystwa.

Cała trójka przyrzeka, że każda miła Czytelniczka, która skreśli do Nich kilka słów, na odpowiedź nie będzie czekała.

...JAK ... „MALINA“

„Malina.“ Do „Krainy“ zapraszam Panią jak najuprzejmiej, wierszyka jednak nie zamieszczam. Jest bardzo słabiutki. Ale to nic. Nie każdy przecież potrafi pisać wiersze, udaje się to tylko nielicznym wyjątkom.

Pisywać do siebie nie tylko pozwalam, ale nawet proszę. Miło mi będzie odczytywać choćby najdłuższe arkusiki.

Na zakończenie przedstawiam Panią naszemu gronu: „Malina“ to ciemna blondynka, średniego wzrostu, o dużych niebieskich oczach i usteczkach słodkich jak... „Malina.“

NIE WIERZĘ

„Janeczka K.“ Na postawione przez Panią pytanie, czy wierzę w wędrówkę dusz, odpowiem krótko: nie! Lubię filozofować, ale w innym kierunku. Tajemnica dusz ludzkich jest tak niezbadana i wielka, że boję się nad tem zastanawiać. Pojmuję ją zgodnie z zasadami Kościoła. I czuję, że tak jest dobrze.

Droga Pani! Proszę mi wierzyć, że sprawiedliwości na świecie jest jeszcze dużo. Tak samo dobrych i szlachetnych serc ludzkich. Jak widzę z listu, mało ich Pani napotkała i stąd ta lekka niewiara. Ale to rzecz normalna. Trzeba doznać od ludzi dużo szlachetnych uczuć, aby posiąść cudowną wiarę w dobroć ludzką.

Skrupuły Pani są bezpodstawne. Nie, nie pomyślałam źle o Pani. „Kraina Szczerości“ jest przecież kącikiem towarzyskim, a nie biurem matrymonjalnem. Niektórzy ją tylko źle pojmują.

Chętnie rekomenduję Panią naszej „Rodzince.“ A więc „Janeczka K.“ jest dość wysoką osóbką, o czarnych oczach i loczkach, jak twierdzą znajomi, przystojną. Pragnie poznać drogą korespondencji jakieś dobre i smutne serce męskie — bratnią duszę.

Myślę, że pozna ją Pani. Przesyłam tysiączne pozdrowienia i proszę bardzo napisać znowu kiedyś do mnie.

ŻYCZENIOM UCZYNIŁAM ZADOŚĆ

„Aromant“ prosi o przyjęcie do „Krainy“ i wprowadzenie w naszą „Rodzinkę.“

Załatwione! Pozostaje więc mi tylko przedstawić Pana, czynię to zaraz.

A więc, „Aromant“ to poważny i przystojny blondyn i wielki marzyciel. Ma nadzieję, że jakieś piękne serduszko miłej Czytelniczki prześle mu kilka słów.

Jak Pan widzi, życzeniom uczyniłam zadość. A propos zaś „podbijania serc“, radzę ostrożnie...

WYNAGRODZĄ PIERWSZY ZAWÓD

„Don Juan“ pisze, że w osamotnieniu żyje jak odludek. Chciałby z kimś drogą korespondencji mile pogawędzić. Przytem skarży się, że dotąd nikt do Niego nie napisał.

Proszę, niech się Pan tem nie przejmuje, bo skoro o tem dowiedzą się Sympatycy „Krainy“, napewno wynagrodzą pierwszy zawód Pana miłemi odezwami.

Listy załączone wysłałam, dziwię się, dlaczego Pan nie otrzymał dotychczas odpowiedzi.

PROSZĘ O PRZESŁANIE PSEUDONIMU

Genowefa B. z Ch. Do „Krainy“ bardzo chętnie przyjmuję Panią, a przedstawię Sympatykom dopiero wtedy, gdy otrzymam pseudonim; widocznie zapomniała o nim Pani zupełnie.

PRZEKAZAŁAM

„Nenufar.“ List przekazałam natychmiast. Odpowiedź dla Ciebie ukaże się w najbliższych numerach „Moich Powieści.“ Cierpliwości, Kochana Dziewczynko! Pomimo najszczerszych chęci, nie mogę dawać prędzej odpowiedzi. Muszę przecież pamiętać o wszystkich, wszystkich!

ZŁUDZENIA

Ja sama nie wiem o tem,
Czy kocham cię, czy nie?
Lecz wiem, że nawet często
O tobie, drogi, śnię?
Ja sama nie wiem o tem,
Czy to kochaniem zwać? —
Lecz wiem, że czasem nocą,
Wcale nie mogę spać.
I marzą mi się chwile
Minione z jasnych dni —
I tak mi jakoś dziwnie.....
Tak czegoś tęskno mi.
Ja sama nie wiem o tem,
Czy kocham cię, czy nie?
Lecz wiem, gdy niema ciebie,
Tak strasznie, smutno... źle!...

„Smutna Luteczka z Bydgoszczy.“

POZDROWIENIA I UZNANIE

„Blanka.“ Serdeczny bardzo Twój liścik. Dziękuję Ci za niego. Przesłana fotografja będzie dla mnie miłą pamiątką. Chętnie zamieściłabym Twoje wierszyki, ale myśli w nich są niekonsekwentnie przeprowadzone do końca. Poczekam więc na inne — lepsze.

„Sercem do Was...“ można nabyć w naszej administracji, przesyłając w znaczkach 80 gr.

Przesyłam w imieniu Pani miłe pozdrowienia, oraz uznanie za wiersze „Złotemu Promykowi“ i p. Maryli Wawrzyńczakównie.

MARZENIE W ŁZACH

Kto nie marzył jeszcze w łzach,
Kto nie tęsknił w głuche noce,
I po złudnych płakał snach,
Ten was nie zna wielkie moce!

Co nas w życia błędny krąg,
Zabieracie duszą, sercem —
I za chwilę na żer mąk,
Porzucacie nas w rozterce.

„Herszt.“

ILE RAZY BĘDZIE SMUTNO I ŹLE

„Smutna Luteczka z Bydgoszczy.“ Proszę niech Pani pisze śmiało, ile razy będzie smutno i źle. Będę zadowolona, gdyż zawsze Pani będzie darzyła „Krainę“ takiem zaufaniem i sympatją, jak dotychczas. Wierszyk umieszczam poniżej.

PROSZĘ PAMIĘTAĆ

„Czarna Perełka.“ Droga Pani! Większość Sympatyków „Krainy“, to ludzie smutni. Skarżą się. Zwierzają z swych smutków i zawodów. Cieszą się, gdy otrzymają słowa pociechy. I potem już nigdy nie zapominają o „Krainie.“

Wierzę więc, że i pomiędzy nami kontakt będzie odtąd stały. Proszę pamiętać, że żaden list mnie nie nudzi, ani nie zniechęca, przeciwnie, każdy czytam chętnie i jestem bardzo zadowolona, gdy mogę komuś, choć nikłą, ulgę przynieść w cierpieniu. Wierszyki niestety słabe. Może na drugi raz będą lepsze.

Teczka Wujka Janusza

UWAGA, „ANIU S.“!

„Biała Uajali.“ Te „szare karteczki“ Pani są nam bardzo drogie. Jak to dobrze, że Pani zdobyła się na odwagę.

A teraz kilka słówek o posadzie. Uważam, że postąpiła Pani jak najlepiej i wierzę, że zawsze tak będzie. Sprawa z ogłoszeniem załatwiona.

Na końcu zostawiłem kartkę poleceń: „Biała Uajali“ dziękuje „Kozaczkowi“ za szczere słowa współczucia i pisze: „Droga Siostrzyczko! ból u mnie mija prędko, bo los mnie sobie widocznie upodobał, lecz za Twoją radą będę się starała jaśniej patrzeć w świat. Prozdrawiam mą Drogą Siostrzyczkę i proszę, by o mnie pamiętała. W przyszłości skreślę osobiście długi, obszerny i szczery liścik.

Równocześnie zapytuję się, czy „Ania S.“ z nr. 10 „M. P.“ nie jest czasem tą słodką i kochaną Aneczką, zamieszkałą dawniej w wiosce Krępkowie, a obecnie w Gnieźnie. Jeżeli tak, zasyłam Aneczce moc pozdrowień od Jej przyjaciółki Kazi, oraz proszę o pamięć.

Dalej zasyłam moc pozdrowień „Jadźce z Kujaw“ — „Azie“ — „Złotemu Promykowi“ (Kochana Siostrzyczko, żal mi Cię bardzo, gdyż wyczułam w Twoich wierszach, że los dla nas obu równym się staje) oraz „Kalinie.“ P. „Ord-Omowi“ współczuję i zapytuję, czy kiedyś skomponuje weselszy wierszyk.“

Ponieważ nie dysponuję dzisiaj dużą ilością miejsca, pozostaje mi już skończyć. Przedtem jednak przesyłam wróbelkowi Pani pozdrowienia i całuję rączki smutniutkiej „Uajali.“

DROGIEMU PRZYJACIELOWI

...Poświęcam najszlachetniejszemu z szlachetnych — Romkowi Bo-czykowi.

Tyś pierwszy wyczuł we mnie natchnień świeże kwiaty,
Bo w tobie także wybucha ogień skrzydlaty,
Pragnienie górnych lotów i pragnienie sławy,
Bo w tobie także drzemie coś z słońca i lawy,
Coś co ducha porywa, w ekstaz złote światy,
Choćaż nie stroiłeś myśli w rymów szaty.
Było jednak coś w listach twych drogie i rzewne,
Że pomimo zwątpienia, widzę szczęście pewniej.

I dziś myśli rzewne, grają radości tęczą,
I jakoś dziwnie śpiewne są i dźwięczą,
I serce nuci jakieś melodje nieznane
Dawne: szczęściem, radością, nadzieją świetlane,
I znowuż jestem spokojna i znowu szczęśliwa
I znów daleka od świata, cicha i radosna.
Bo w tobie jest pieśń nadziei, dla mnie bardzo tkliwa,
A w przyszłości zawita może znowuż wiosna.

„Biała Uajali.“

Krępkowo, w marcu 1935 r.

CIESZĘ SIĘ

„Żądło.“ Cieszę się, że znowu Pani do mnie napisała. Długo nie dawała Pani o sobie znaku, jak zdążyłem zauważyć. Listy otrzymaliśmy obydwa, jednakże nie posiadamy narazie dokładobu równym się staje) oraz „Kalinie.“ P. kazać. Załatwimy to jednak, gdy adres nadejdzie.

Wiersze zamieszczę. Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i choć z oddali zamieniam przyjacielski uścisk dłoni.

WIOSNA!

Już zakwitnąć ma wiosenka,
Zazielenić ma się gaj!
Niech więc wszędzie brzmi piosenka,
Że i smutnych czeka raj!
Niechaj tylko proszą Boga,
By cierpliwie znosić trud!
I nie słuchać szeptów wroga,
A raj znajdzie biedny lud!
Niech więc w sercach kwitnie wiosna,
Z nią niech wstąpi spokój w nas,
Niech piosenka brzmi radosna,
Że sam Bóg powiedzie nas.

„Żądło.“

Świat i życie

W gościnie u Lapończyków

Dzień był pogodny i jasny, gdy płynęliśmy przez wyjątkowo ciche jezioro Torne (po lapońsku Tornetrāsk) do osady lapońskiej Palnoviken, leżącej na północnym jego krańcu, gdzie jedno z plemion Lapończyków spędza coroczne letnie miesiące. Ciekawość nasza była mocno podniecona. Mieliśmy nareszcie ujrzeć Lapończyków na tle ich rodzimego życia, nie włóczące się, wystrojone figurki na pokaz, ale prawdziwych ludzi na tle ich własnego środowiska.

Wokoło nas roztaczał się krajobraz naprawdę lapoński. Długie i wąskie stosunkowo jezioro gubiło się w oddali licznemi skrętami między spiętrzonemi nad brzegami wzgórzami, których zielone stoki przeglądały się w przezroczej toni, tu i ówdzie połyskując siwizną nietopniejącego latem śniegu.

Powietrze było tak czyste, że dalekie nawet przedmioty zdawały się być bliskie, a blade niebo i blade słońce rzucały na cichą wodę perłowe blaski. Odległe góry odcinały się zupełnie niebieską barwą, jaką widuje się tylko na północy. Płynęliśmy godzinę jedną i drugą... i wreszcie za małą wysepką jezioro skończyło się zatoką, nad nią widniał wysoki brzeg, porośnięty zrzadka brzozą, kilka jakby kopczyków z ziemi i zresztą pustka zupełna! Gdzie ludzie? Gdzie wioska? Gdzie osada?

Nagle zaroiło się wybrzeże od czarnowłosych smagłych postaci. Spostrzeżono nas i byliśmy oczekiwani. Skok na brzeg, kilkadziesiąt kroków w górę i już jesteśmy w centrum osady! Gościnna Laponka otwiera drzwi swego „domu", zapraszając uprzejmie do środka.

Dom lapoński, to niewielki stożkowaty kopiec, z pni brzozowych złożony, pokryty grubo korą i darniną, a dołem obłożony kamieniami. Prowadzą do niego surowe, ociosane drzwi. Wewnątrz zupełnie prawie ciemno, odurza dym, zapach potu i skór. Przez nieduży otwór w szczycie wpada nieco światła na wielki kamień, leżący w pośrodku, palące się na nim ognisko i wiszący na łańcuchu kociołek. Po chwili oswojeni z ciemnością, rozglądamy się ciekawie dookoła. Urządzenie niebogate: pod ścianami pęki skór reniferów, służących za posłanie; kilka skrzynek drewnianych, ładnie ozdobionych metalem, półka z fajansowemi filiżankami, parę starych gazet szwedzkich i... ręczna maszyna Singera. Mieszanina najskrajniejszej prymitywności z wytworami kultury.

Z lewej strony drzwi wisi na długich sznurach coś bardzo osobliwego. Cieniutki pisk zdradza jego zawartość. W maleńkiej z pnia brzozowego wyciętej kolebce wykrzywia spłakaną buzię lapońskie dziecko. Kolebka ta nie jest ani łóżeczkiem ani też kołyską w naszem słowa znaczeniu. Jest to coś, jakby ściśle z dzieckiem zrośnięte i stanowiące z niem nierozerwalną całość tak długo, dopóki się ono o własnych siłach nie podniesie i aż wykształcony kręgosłup bez pomocy drewnianej podpory utrzymać będzie mógł małe ciałko. Opatulone maleństwo nie rozwija się zupełnie. Szczupła jego buzia, ziemista cera i wieczne cieknący nosek świadczą, że różne europejskie higjeniczne wymysły uważane są tu stanowczo za przesąd.

Lapończycy ubierają się ładnie i efektownie, szczególnie tam, gdzie służą niejako za atrakcję dla turystów. Dbają bardzo o swój wygląd i przybierają teatralne pozy, z widoczną przyjemnością pozwalając się oglądać.

Mężczyźni noszą latem sukmany z granatowego sukna zaokrąglone dołem, obszyte czerwoną lamówką. Do tego bardzo szeroki pas, nabijany gwoździkami. Główny efekt stanowią czerwone i żółte wypustki w szwach kabata i ogromny czerwony pompon na szczycie wysokiej czapki.

Kobiety ubierają się podobnie. Na głowie małe czapeczki sukienne. Na nogach buty z reniferowej skóry. U boku noszą Lapończycy noże w pięknie nieraz rzeźbionej oprawie. Lapończycy są bardzo brzydcy, niscy, z wystającemi policzkami, małemi, skośnemi oczkami, mocno wydatnym, zadartym nosem i ciemnemi twardemi włosami. Pędzą oni życie dość próżniacze. Szczególnie mężczyźni, latem, gdy renifery pasą się same na fiordach, rybne jezioro daje poddostatkiem pokarmu, a mleko kóz hodowanych przy domu, mogą się w całej pełni oddawać lenistwu. Zabawiają się wycinaniem z rogów reniferowych bardzo pięknych nieraz opraw do noży, które znajdują chętnych nabywców między odwiedzającymi ich turystami. Handlują również skórami, rogami oraz różnemi drobiazgami swego wyrobu.

Gdyśmy już opuszczali lapońską wioskę, obskoczyło nas całe plemię, od dzieci do starców, obwieszone „pamiątkami", które poprostu wtykano nam w ręce przemocą. Musieliśmy się zrewanżować za gościnę i za kawę, której wypicie należy do nieuchronnych ceremonji w gościnie lapońskiej.

Ze świata

Matka 21 dzieci

Wieśniaczka, mieszkająca w pobliżu Budapesztu na Węgrzech otrzymała pierwszą nagrodę od rządu węgierskiego za to, że jest matką 21 dzieci. Ale nie opłaciła się, jak to mówią skórka za wyprawkę, gdyż kobiecina dostała raptem aż 30 dolarów. Sześć tysięcy innych kobiet węgierskich otrzymało złote medale. Posiadają one razem wziąwszy 80 tys. dzieci. Przeciętnie wypada to na każdą matkę trzynaście i jedna trzecia dziecka.

—o—

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Niema, prosze ja kogo, sprawiedliwości dla tronkowego narodu. Nie dalej jak wczoraj jeden kolejarz dostał w okręgowem sądzie 3 lata mamra za to, że sie dwa razy ożenił.

Faktycznie za taką rzecz więcej sie należy. Bo to jest nieposzanowanie kawalerskiego stanu. Wiadomo, że każden naturalny mężczyzna może raz w życiu zrobić głupstwo i sie ożenić, ale jeżeli to robi 2 razy, znakiem tego jest warjat, albo przestępca i takiego trzeba zamknąć, żeby zgorszenia nie uskuteczniał i złego przykładu nie dawał.

Ale z tem kolejarzem było inaczej. Ze łzamy w oczach, na kolanach przysięgie złożył, że sie drugi raz ożenił w pijanem stanie i nawet nie wiedział kiedy.

No i patrzcie Państwo, sąd mu nie uwierzył! A to jest zupełnie możliwe. Człowiek pod ankoholem nie wie co robi.

Nie miał kto sędziom tego wytłomaczyć i dlatego tak sie stało.

Żebym ja o tej sprawie wiedział, za świadka bym sie pierwszy podał, jako, że pod względem spirytusowem fachowiec jestem. I takie mowe bym tam wyczytał, że kolejarz napewno wyrok niewinny by otrzymał.

Z własnego życia przykład mógłbym sędziom wyszczególnić. Bo dlaczego kolejarz nie mógł sie pod ankoholem ożenić, kiedy ja sie po pijanemu rozwiedłem z żoną, tak, że nawet nie wiedziałem kiedy.

A było to tak: Przychodzę ja raz do domu z większego ochlaju. Przed drzwiami buty zdejmam, żeby żony nie obudzić, do kieszeni po klucz sięgam i widze, że papier jakiś tam posiadam. Zaświeciłem zapałką, żeby zobaczyć co to jest — czy rachunek z restauracji, czy pozwanie do sądu za zakłócenie spokoju. Czytam i oczom nie wierze. Wyraźnie napisane było, że udziela się z miejsca rozwodu Zawalidrodze z jego małżonką Eugenją z powodu, że ta dana Eugenja męża nie szanuje, czyli małżeńskie przykazanie znieważa, rękie na swojego oblubieńca podnosząc. Podpisany był pod tem biskup, znaczy, że wszystko po formie.

Jakiem to przeczytał, odrazu kamasze nazad włożyłem, klucz schowałem i dzwonie.

Żona wychodzi i odrazu do mnie z pyskiem jak dawniej:

— Ty taki a taki, moczymordo!

No to ja ma sie rozumieć sie zdziwiłem i mówie:

— Pani szanowna, zdaje sie, omyłkie w adresie uskutecznia. Co za „ty"? Rozwiedziony kawaler jestem i nie mam życzenia przykryych słów od obcej kobiety słuchać.

Wtenczas żona mówi, że nie tylko musze słuchać, ale jeszcze po gembie mogie dostać.

A ja na to, że to niemożliwe, bo separacje jej dałem od stołu, łoża i swojej gemby. No i pokazuje jej rozwód, a ona papier mnie odebrała i tak trzepaczką po głowie nakładła, że policzki w szkocką kratę przez dwa dni miałem poznaczone.

Dopiero później sie wydało, że rozwodu udzielił mnie „Pod minogą" Szczepan Biskup, szewc damski pasowy, kolega szwagra.

Faktycznie, papier nie był ważny, ale nie o to chodzi, fakt jest faktem, że można w pijanem widzie rozwód dostać znaczy sie, że i ożenić sie można takżesamo, a może jeszcze łatwiej.

To bym sędziom powiedział i kolejarza od więzienia uratował.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Sympatyczny Przyjaciel." Próśb podobnych nie uwzględniają żadne czasopisma, a więc i my nie możemy robić wyjątków. Ogłoszenia drobne dajemy już od 50 gr począwszy. Skutek ich zawsze jest dobry. Przesyłamy Panu serdeczne pozdrowienia i dziękujemy gorąco za jednanie nam abonentów.

Co słychać w polityce?

Wcześniej niż ktokolwiek mógł przypuszczać weszliśmy w okres przełomowy dla rozwoju sytuacji europejskiej. Decyzja Rządu Rzeszy z dnia 16 marca br. wprowadza obowiązek powszechnej służby wojskowej w Niemczech, to coś więcej niż naruszenie klauzul militarnych Traktatu Wersalskiego, **to przedewszystkiem zapowiedź, iż odtąd Niemcy w oparciu o swą siłę wojskową będą dążyły do takiej reorganizacji Europy, która odpowiadać będzie ich interesom.**

Decyzja Niemiec nie stanowi sama w sobie niespodzianki. Dla każdego, kto śledził bieg wypadków w polityce zagranicznej, kto widział stałe ustępowanie dawnych aljantów wobec roszczeń niemieckich, jasnem było, że prędzej czy później Niemcy pokuszą się o wyraźne obalenie Traktatu. Niespodzianką natomiast stał się zarówno moment, jak i forma decyzji niemieckiej.

Wiadomo przecież było, że tak zwane równouprawnienie Niemiec pod względem wojskowym było głównym tematem rokowań dyplomatycznych, których punktem kulminacyjnym miała być podróż ministrów angielskich Simona i Edena do Berlina. Wiadomo było, że państwa zachodnie, a więc nietylko Włochy i Anglja ale także i Francja były gotowe dać Niemcom to równouprawnienie **wzamian za wyraźne zobowiązanie się Niemiec do udziału w paktach bezpieczeństwa, mających zagwarantować pokój w Europie.**

I tego właśnie Niemcy nie chciały. Tu leży cała groza wymowy ostatnich faktów.

Niemcy, których gra dyplomatyczna w ostatnim czasie miała jedynie na celu wypróbowanie granicy ustępliwości państw zachodnich, po odzyskaniu zagłębia Saary, ostatniego zastawu, który hamował ich rozpęd w kierunku likwidacji Traktatu, poczuły się znowu na siłach tem bardziej, gdy zrozumiały, że nie grozi im izolacja, do czego zmierzał przewidujący Barthou i że klucz sytuacji znajduje się w ręku Anglji, co dla Niemiec było gwarancją, że nic nie stanie się przeciwko Niemcom bez Niemiec. Od tej chwili rząd niemiecki przestał się liczyć ze względami na toczące się rokowania dyplomatyczne i zaczął działać na własną rękę. Przeszła więc „chrypka" kanclerza Hitlera, która opóźniła przyjazd ministrów angielskich do Berlina, przyjazd wobec planów niemieckich w tym czasie niepożądany. Przyszło oficjalne ogłoszenie wprowadzenia lotnictwa wojskowego, a wreszcie krok decydujący: ustawa o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej.

Rokowania dyplomatyczne zawisły w próżni. Cenę, którą Niemcom ofiarowano za zgodę na stabilizację stosunków w Europie wzięły sobie one same za darmo. Zgoda na proponowane pakty i układy przestała być przedmiotem targu, może już być chyba aktem dobrej woli.

Metoda postępowania dyplomacji niemieckiej niewiele ma oczywiście wspólnego z angielską zasadą uczciwej gry. Nie poszanowanie swego podpisu i zabranie własnowolne przedmiotu układów w traktacie ich trwania to nie są metody, któreby gdziekolwiek a tem mniej w Anglji wzbudzić mogły szacunek dal kontrahenta.

Jeżeli mimo to minister Simon zdecydował się jechać do Berlina to musiały ku temu być poważne powody. Jakie?

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 31. III. do 6. VI. 1935 r.

Niedziela, dnia 31 marca 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Muzyka popularna 10.30 Transmisja Nabożeństwa 12.05 Przegląd Teatralny 12.15 Transmisja z Filharm. Warsz. W przerwie — ok. g. 13.00–13.15. Fragment słuchowiskowy 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Wiosenne prace w lesie" 15.15 Muzyka na klarnecie i harmonji 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Dalszy ciąg muzyki na klarnecie i harmonji 15.45 „Kontrola mleczności — podstawowym warunkiem hodowli" (pogadanka rolnicza) 16.00 Koncert solistów 16.40 Fragment z książki Rom Laudau'a p. t. „Paderewski" 17.00 Koncert 17.40 „Łamigłówki" dla dzieci starszych 17.50 „Palić czy nie palić" pogadanka 18.00 Zespół wokalny 18.45 Zycie młodzieży 19.08 Wiadomości sportowe lokalne 19.13 „Od largo do Presto" — (płyty) 19.45 „Miasto pożerane przez puszczę" 20.15 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 „Gwiazdy ekranu" (płyty) 21.30 „Co czytać". (Nowości beletrystyczne) 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R. 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Koncert Kompozytorski Feliksa Nowowiejskiego 23.05 Muzyka lekka.

Poniedziałek, dnia 1 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert orkiestry jazzowo-salonowej 12.45 „Chcę mieć piękny balkon" — pogadanka 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert kameralny 13.30 Tańce ludowe 13.50 Wiadomości o eksporcie polskim 13.55 Przegląd giełdowy 15.45 Piosenki rewjowe 16.30 Lekcja języka niemieckiego 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Zagadki muzyczne" dla dzieci starszych 17.15 Rezerwa ogólnopolska 18.00 Przegląd filmowy 18.10 Krótki recital śpiewaczy 18.25 Chwilka społeczna 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Piosenki w wyk. chóru Juranda (płyty) 19,15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Audycja żołnierska 20.00 Koncert wieczorny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 21.15 Reportaż 22.30 Muzyka lekka.

Wtorek, dnia 2 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert z płyt 13.45 „Z rynku pracy" 15.45 Muzyka lekka 16.30 „Listy od dzieci" (młodszych) 16.45 Arje i pieśni 17.00 „Skrzynka P. K. O. 17.15 Fragmenty z Pasji 17.50 „Nowe placówki pracy" (odczyt) 18.00 Pieśni ludowe 18.15 Fragment teatralny 18.45 Melodje operetkowe (płyty) 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Preludja 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 V koncert historyczny muzyki polskiej 22.00 Muzyka lekka 22.30 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 22.45 Muzyka lekka.

Środa, dnia 3 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Zespół Salonowy Rozgłośni Warszawskiej 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert (płyty) 15.45 Rewja starszych operetek 16.30 „Kolejne posiedzenie klubowe" — Odczyt 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Podstawy wiedzy współczesnej": „Polityka państw europejskich po wojnie". — Odczyt 17.15 „Z muzyki klasycznej" w wykonaniu Ireny Dubiskiej (skrzypce) 17.50 „O książce Karola Koźmińskiego „Józef Sułkowski" — Odczyt 18.00 Pieśni słowiańskie 18.15 „Wykończyli się" — wesoły sketch 18.30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Audycja Racławicka 19.07 „Racławicka rocznica" — pogadanka 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Koncert 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Fragment operowy 20.15 Wieczór Mickiewiczowski 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Odczyt w języku angielskim p. t. „Początki marynarki wojennej" 21.40 Pieśni polskie 22.15 Muzyka lekka.

Czwartek, dnia 4 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Audycja dla szkół. „Wesoła Szkoła" 12.30 Koncert szkolny z Filharmonji Warszawskiej 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Dziennik południowy 13.10 Dalszy ciąg koncertu szkolnego z Filharmonji Warszawskiej 13.45 Z rynku pracy 15,45 Koncert 16.30 Pogadanka w języku francuskim 16.45 „Kwadrans muzyki klasycznej" 17.00 Reportaż z Instytutu Radowego w Warszawie 17.15 Koncert popularny 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Piosenki 18.15 „Rok 1905 w poezji polskiej" — szkic literacki 18.30 „Skrzynka ogólna" 18.45 Muzyka (płyty) 19.00 Spiewy historyczne 19.15 „Nowiny leśne" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Zapomniane przeboje (płyty) 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Z wesołą muzą przez świat" — audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Teatr Wyobraźni 21.30 Trio fortepianowe 22.15 Muzyka lekka 23.30 Rozmowy z angielskimi słuchaczami.

Piątek, dnia 5 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Muzyka salonowa 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 15.45 Melodje góralskie (płyty) 16.00 „Dwie Marysie" 16.30 Pogadanka przyrodnicza dla dzieci starszych 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 Dyskutujemy o wartości pracy 17.15 Koncert organowy 16.30 Audycja dla dzieci starszych 18.10 Słuchowisko z komedji 18.45 Muzyka salonowa 18.15 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 22.30 Recytacje poezyj 22.45 Nauka wielkopostna 23.05 Muzyka lekka.

Sobota, dnia 6 kwietnia 1935 r.

6.00 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Muzyka (płyty) 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.45 „Nasz handel morski" 14.45 Koncert 15.30 Recytacje prozy 15.45 Muzyka polska popularna 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Krótki recital fortepianowy 17.00 Miasta i miasteczka polskie — „Koźmin" odczyt 17.50 Pogadanka przyrodnicza 18.00 „Teatr Wyobraźni" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Melodje z filmu dźwiękowego 19.15 Przegląd rolniczej prasy krajowej i zagranicznej 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Koncert zespołu mandolinistow 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Na wesołej lwowskiej fali 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Transmisja z teatru „La Scala". W przerwie I-ej około godz. 20.50 „Zoperowany Faust — Goethego" — wygł. dyr. Witold Hulewicz. W Przerwie II-ej około godz. 22.00 „recytacje z „Fausta" — Goethego — w tłomaczeniu Zegadłowicza. W przerwie III-ej około godz. 23.00 „Jak pracuje Polska Akademja Literatury".

CHWILA ZASTANOWIENIA

W I R Ó W K A
ul. „Velga" z Głowna



Objaśnienie: Przeskakując w kierunku ruchu wskazówki zegarowej, co siedem pól, otrzymamy rozwiązanie, początek do odgadnięcia. Zaczynamy oczywiście od M.

T Y T U Ł Y
ułoż. Danuta W.

Nastało nowe lato! Zdaleka, gdzieś z łąk i z pól, płynie po rosie przygrywka pastuszka, grającego na fujarce. Tak, jak jesienią, siedzi w naszej chacie u okienka dziaduś. W myśli staje mu Jaś: nie doczekał on słonka i umarł w piwniczej izbie. Dziś w nocy śnił dziaduś o nim..."

Wypisać z powyższego tytuły wierszy wielkiej poetki polskiej i podać jej nazwisko.

Rozwiązanie z nr. 11 „Moich Powieści": Magi-rekonstrukcja: Polak, Omega, Legat, Agawa, Katar. Szarada: Panorama.

Trafne rozwiązania nadesłali: Czesław Kozłowski, Warszawa — Henryk Silczyński, Warszawa — Ł. Kokotowa, Mielęcin — Schellong Marja, Zbąszyń — Ludwik Dulat, Zbąszyń — K. Mikstacki, Lipiny — Marja Konikowska, Sulmierzyce — Koszałka Brunon, Sierakowice — Wegner Edward, Ostrówki — S. Kempiński, Śrem — Józefa Rejska, Przygodzice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Józefie Rejskiej z Przygodzic pow. Ostrów Wlkp. i Edwardowi Wegnerowi, Ostrówki pow. chodzieski.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

29)

Nagle zabrzmiał jakiś głośny tumult, — dało się słyszeć bicie dzwonów, konie szarpnęły się i stanęły dęba. Józef miał zaledwie czas ściągnąć silnie lejce, o mało co, że nie wjechali na wóz straży pożarnej, która właśnie chciała także zboczyć w uliczkę.

„Nazad!“ zakrzyknęło sto naraz głosów na stangreta lekkiego myśliwskiego kabrjoleciku, „na stronę!“

„Naprzód!“ rozkazał hrabia Zygmunt Sokolski, prostując się w powozie, „nie mamy czasu do stracenia, rozchodzi się o życie ludzkie“.

Józef zaciął na nowo rumaki, — chciał przemocą utorować sobie drogę przez tłum, ale kilkadziesiąt rąk sięgnęło do lejców koni powozowych, chcąc je usunąć na stronę, aby straż pożarna, która czekała u rogu, mogła wjechać w ulicę. W tej chwili powstał hrabia w powozie i zawołał:

„Odstąpcie, ludzie, — cofnijcie się, — nie wiecie, co czynicie, — ja muszę się spieszyć, — tu rozchodzi się tylko o jedną minutę, — mój powóz musi naprzód pojechać“.

„To niepodobna, panie!“ odpowiedział mu głos jakiegoś wyższego urzędnika straży pożarnej, który tymczasem zeskoczył z wozu i przystąpił do hrabiego, — „tutaj rozchodzi się o pożar w w bliskości miasta, — życia ludzkie stoją w grze, — strażnik mostowy właśnie zatelegrafował nam, że najwyższy pospiech potrzebny, — a widzi pan przecie, że przez tę ulicę może tylko jeden wóz przejechać.“

„Ależ panie“, zawołał Zygmunt, trzęsąc się z rozdrażnienia, — panom się rozchodzi tylko o to, aby pożar, zagasić, — a ja muszę ratować życie człowieka, — proszę rozważyć: życie drogiego człowieka nie da się wskrzesić, jeżeli raz zagasło.“

„Bardzo mi przykro, mój panie“, odparł urzędnik, „ale nie mam czasu dłużej debatować z panem, — naprzód, ludzie, porwijcie konie te na bok, — musimy co koń wyskoczy do zamku Sokolskich.“

Jak piorun trafiły hrabiego te słowa, — twarz mu zbladła, — zesztywniał cały, — oczy stały się nieruchome, wlepione w jeden punkt, — ciężkie westchnienie podniosło mu pierś, bezsilnie opadł na poduszki siedzenia w powoziku.

„Do zamku Sokolskich?“ zawołał tajny radca, przyboczny lekarz księcia, „coście powiedzieli, — nie mówiliście właśnie o zamku Sokolskich?“

„Nieinaczej“, odparł urzędnik straży pożarnej, „zamek hrabstwa Sokolskich stoi w ogniu a powiadają, że na drugiem piętrze w zamku ma leżeć jakaś słaba dama.“

„Na bok, Józefie!“ zawołał hrabia swojego stangreta, „puść straż pożarną, — niech spełnią swój obowiązek, niech ugaszą pożar, — niech ratują zagrożone życia ludzkie, — ja jednakowoż muszę, jak tylko ulica się opróżni, spieszyć dalej, — do budynku więzienia!“

Doktor objął ramieniem plecy Zygmunta.

„Hrabio“, zawołał, „czyż nie słyszałeś pan, że zamek Sokolskich stoi w płomieniach, — rozchodzi się o pańską posiadłość, pański majątek!“

„Niechże zamek wali się w gruzy, niech się spalą moje skarby i majątek“, zawołał Zygmunt z dziwnym błyskiem oczu. „Kazimierz musi być uratowanym, — bo ja, — ja wręczyłem mu tę nieszczęsną truciznę!“

„Ależ pańska córka, — Lola, — znajduje się w niebezpieczeństwie?“

„Bóg zmiłuje się nad nią, — Kazimierz Zamski musi być ocalonym, — to nakazuje mi moje sumienie, mój obowiązek.“

„A życie Elzy?“ zawołał lekarz z drżeniem w głosie, „przecież ona tam bez pomocy, nie może sama wstać z łóżka, nie może się ratować ucieczką!“

Straszny, przeraźliwy okrzyk wyrwał się z piersi hrabiego, — załamał ręce tak silnie, że wszystkie stawy zatrzaskały mu w palcach, rwał sobie włosy, zakrył dłonią twarz i oczy, w których dzikie płomienie rozpaczy gorzały.

Z pół minuty zaciskał wargi, tylko wewnętrzne szlochanie rwało mu pierś, wreszcie porwał się gwałtownie ze siedzenia, wołając:

„Jeżeli Bóg nas opuści, w takim razie dozwoli, aby Elżutka i moja córka zginęły w płomieniach, ale, — ale On tam jest przynajmniej przy nich i może im pomóc, — biedny Kazimierz jednak sam jeden, — samotny, — rozpacz i przerażenie dzielą z nim tylko celę i śmierć, która wyziera z dna tej przeklętej flaszeczki z trucizną. — Nikogo niema, — Bóg go nawet opuścił, — ja muszę do niego, — do niego! Naprzód, Józefie, droga już wolna, — straż pożarna pogoniła dalej, — musimy do więzienia, — co tchu starczy, — naprzód!“

W następnej chwili zaświstał bat na plecach ognistych rumaków, — szarpnęły z całą gwałtownością i pogoniły z rozwartemi nozdrzami i płomieniem w oczach ciągnąc ze sobą powóz. A w powozie, — w powozie leżał Zygmunt z głową schyloną na piersi, łza za łzą spadała mu z oczu na brodę, pozostawiając długie smugi na trupio bladych policzkach jego, — tajny radca spoglądał na niego jak na zwycięzcę, — jak na bohatera, szepcąc po cichu pod nosem:

„Co za człowiek, — zostawia cały dom, majątek, w płomieniach i gruzach, aby tylko spełnić obowiązek, — obowiązek zacnego, prawego mężczyzny!“

XL.

Więzień

Straszne, okropne chwile przeżył Kazimierz po opuszczeniu sali rozpraw.

Skazany, — uwięziony, — aresztant, — co za los! Czyż nie pogardza nim i nie mści się na takim nawet najniższy urzędnik, — jakiem pogardliwem spojrzeniem mierzy go całe otoczenie, — egzystuje dla niego jeszcze jakie prawo? O nie, chyba tylko prawo więzienne, pod które podpadł od chwili wyroku! A to przynosi biednemu aresztantowi tylko rozczarowanie i poniżenie, sponiewieranie i rozpacz.

Wsadzono Kazimierza do wozu zamkniętego szczelnie ze wszystkich stron, — tylko małe zakratowane okienko przepuszczało nieco światła dziennego, — wepchnięto go do środka, usiadł w ciasnym oddziele zabitym z obu stron grubemi deskami, nie mógł się nawet swobodnie poruszać, — zdawało mu się, że wpakowano go już za życia w trumnę. Tuż obok umieścił się wygodnie urzędnik policyjny, który mu zaraz z początku oznajmił, że ma przy sobie rewolwer nabity ostro i że przy pierwszem usiłowaniu lub okazaniu chęci ucieczki wpakuje mu kulę w ciało.

Ale jakżeby mógł uciekać, kiedy ręce miał skute łańcuszkami, — zresztą gdyby je miał nawet wolne nie przeszłaby mu taka myśl przez głowę.

Bo dokądżeby miał uciekać, gdzieżby nie pogoniła za nim pogarda ludzi. Tysiąc razy więcej, jak łańcuch u rąk ciężyła na nim ta świadomość, że jest obecnie napiętnowany — wyrzucony z ludzkiego towarzystwa!

Skazany na ciężkie więzienie aresztant, to już nie człowiek, to numer tylko, przepadł dla ludzkości, — nie egzystuje dla niego jakieś nowe życie, — wtrącony bezmiłosiernie w przepaść. I chociażby później próbował się podnieść, — chociażby chciał pracować od świtu do nocy, aż do omdlenia rąk, — to widmo więzienne nie odstąpi go ani na chwilę. Przypuśćmy, żeby mu się udało na chwilę zapomnieć o tem, podnieść się, wybić ponad powierzchnię, ze śmiechem wtrąci go opinja ludzka napowrót w głębię, da mu odczuć całą pogardę, bez miłosierdzia zawoła:

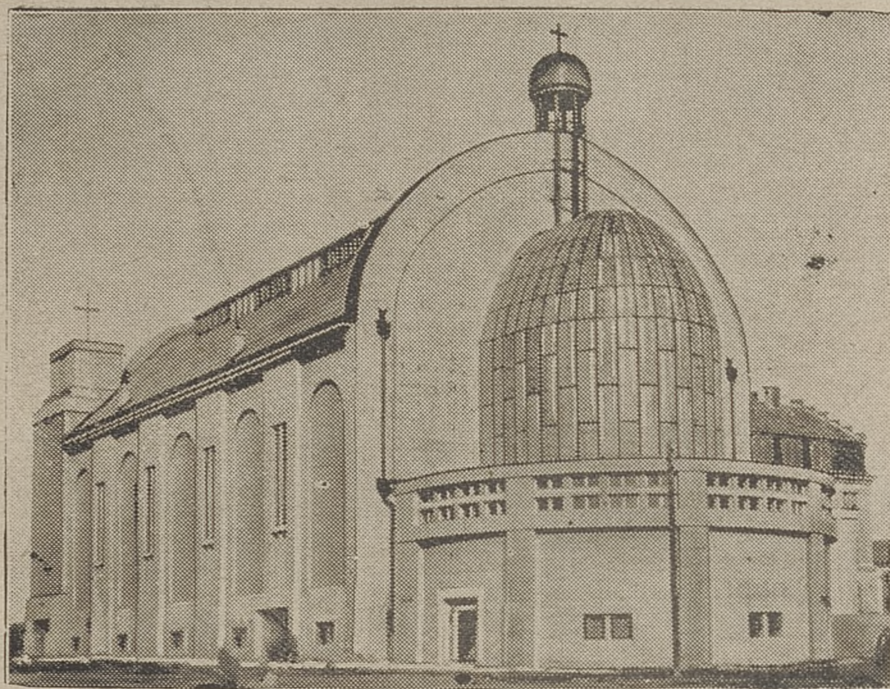
„Więzień, aresztant, — tym byłeś i tym zostaniesz, — nosisz niewidomie, a przecież jawnie piętno hańby na swem czole.

Są wyjątki, — ludzie, którzy odcierpiawszy karę więzienia wracają napowrót do towarzyskiego życia i starają się powtórnie w niem zaklimatyzować, — chwytają się pierwszej lepszej gałęzi przemysłu lub handlu, — powodzi im się jako tako, — pilnością i pracowitością wybijają się coraz więcej, tak, że zapewniają sobie skromne wprawdzie, ale wystarczające stanowisko. — Ale wszyscy ci, których przedtem nazywali swoimi przyjaciółmi, unikają ich teraz starannie, już z daleka ujrzawszy ich przechodzą na drugą stronę ulicy, szepcąc sobie tajemniczo do ucha:

„Patrz, ten wyszedł z kryminału!“

Ci biedni zadawalają się swojem cichem, spokojnem życiem, bo ze zgrozą przypominają sobie siwe mury więzienne i ciemną celę, którą zamieszkiwali, nie mają najmniejszej pretensji do szacunku u swoich współbliźnich, pocieszają się chociby tą myślą, że przecież stanowią obecnie jednostkę w społeczeństwie, że są obywatelami, podczas gdy przedtem byli tylko liczbami.

Ale taki młody szlachcic, arystokrata, młodzieniec, który jak Kazimierz Zamski zajmował w życiu wybitne stanowisko, ten przekroczy raz próg więzienny, traci wszelką możliwość powrotu do świata. Taki jest zbeszczeszczony,



W robotniczej dzielnicy Wiednia z inicjatywy kardynała Innitzera wybudowano uwidocznioną na zdjęciu nowoczesną świątynię.

na całe życie, — srogi los wepchnął go do dołu, z którego niema wyjścia. Choć po odsiedzeniu kary opuści budynek więzienny nieśmie, niemoże powrócić do tych sfer towarzystwa, w których obracał się całe życie, — tam wypchnęli by go od siebie ze wzgardą i z ironią pytaliby go.

„Coś ty za jeden, — czego chcesz tutaj, — my cię nie znamy! Tak, byłeś kiedyś hrabią Kazimierzem Zamskim, — ale ten umarł już dawno, on nie żyje, przynajmniej dla nas nie żyje więcej!"

Mężczyzna więc, który utracił swój honor, opuszcza mury więzienne jako nieistniejący, jak trup, — trup za życia, — pogrzebany w ludzkiej opinji głębiej i dokładniej jakby go rzeczywiście w trumnę włożyli i przysypali ziemią.

O tem wszystkiem wiedział Kazimierz i dlatego zrodziła się w duszy jego ta silna myśl, to niepowściągnione pragnienie, aby umrzeć, — aby uciec od hańby, — to jedno zajęło duszę jego obecnie w całości.

Dlaczegóż miałby jeszcze zwlekać, poco odkładać, — miałżeby odsiedzieć może tych dziesięć lat kryminału?

O nie, pierwszego dnia zaraz chciał zakończyć to swoje spaczone życie, — chciał tylko poto przestąpić próg swojej celi, aby w niej umrzeć, — zapomnieć, i być zapomnianym od wszystkich, którzy go w życiu kochali.

— — — — — — —

Jak tylko wóz z więźniem zatrzymał się przed budynkiem kryminału, rozkazano Kazimierzowi wysiąść.

Dwaj żołnierze z ostro nabitymi karabinami poprowadzili go po schodach — stanął w ponurem biurze, którego ściany pozastawiane były pułkami pełnemi grubych, wielkich ksiąg. — Przed biurkiem siedział jakiś pan o ostrych rysach, który przy wejściu skazanego nie przestał dalej czytać ze spokojem w jakiejś rozwartej księdze, — to był dyrektor zakładu karnego.

Wreszcie podniósł głowę, spojrzał na Kazimierza ostro, jakby mu chciał zaglądnąć aż do dna duszy i odezwał się spokojnym i surowym zarazem tonem:

„Pan jesteś Kazimierzem Zamskim, zostałeś pan za zamierzone morderstwo skazanym na dziesięć lat więzienia, — każe pana zaraz do jego celi odprowadzić, — chciałbym panu tylko przypomnieć, że niemożesz tutaj rachować na jakiekolwiek względy, — masz nazwisko, które w dobrem towarzystwie nie jest bez znaczenia, — jesteś synem bardzo szanowanego, znamienitego męża, — ale to wszystko teraz dla pana bez wartości! — Występkiem swoim oderwałeś się pan od arystokracji i od tych, którzy byli panu przyjaciółmi. — Teraz jest obowiązkiem pana spokojnie się zachowywać w swojej celi, jeżeli niechcesz, aby ostrzejsze środki zastosowano, jak u innych.

— Pierwsze trzy miesiące spędzi on według przepisu w osobnej celi, — później przeznaczą mu salę pracy, — musi się wyuczyć robienia cygar, — spodziewam się, że posłuszeństwem i pilnością nie da się innym wyprzedzić i nie dopuści skarg na siebie".

Kazimierz nie odzywał się ani słowa, całą odpowiedzią jego było pogardliwe spojrzenie jakie rzucił na dyrektora.

„Czy ma co do odpowiedzenia?" spytał dyrektor, „ma może jakie życzenie?"

„O jedno proszę, panie dyrektorze, proszę mi pozwolić napisać list".

„List, — do kogo?"

„Do jednej osoby, która jest mi bardzo bliską".

„Hm, — tej prośby nie mogę mu odmówić, — ale robię go uważnym, że najbliższy list może dopiero napisać w pół roku. Zresztą każdy kawałek przechodzi przez moje ręce i bywa przezemnie odczytywany".

„List ten, panie dyrektorze, nie będzie zawierał żadnej tajemnicy, zreszta życzyłbym sobie, aby pismo to było dostawione wprost do rąk hrabiego Zygmunta Sokolskiego, — on je sam potem wyśle wedle adresu."

„To się stanie, — teraz jednak trzeba się będzie przebrać, następnie zetną mu włosy całkiem krótko".

Kazimierz zadrżał lekko. — Jego ciemne, miękkie jak jedwab włosy, jego duma i ozdoba miały paść pod nożycami więziennymi, — ach, zimny dreszcz przebiegł mu już na samą myśl po ciele.

Wiedział jednak, że wszelki protest, wszelkie wzbranianie się nie pomoże mu nic, — musiał się poddać nieuniknionemu losowi, — zresztą co na tem zależało, czy jutro położą go z włosami czy bez włosów, do trumny, — przecież wszystko swoje, całe ciało chciał wydać na pastwę zagubie.

Dyrektor skinął, — poczem wyprowadzono Kazimierza do długiego, ciemnego gabinetu przybocznego, w którym po obu stronach wisiały na ścianach płócienne, zgrzebne ubrania.

Obaj żołnierze odprowadzili go aż do drzwi i oddali go następnie pod dozór jakiemuś staremu człowiekowi, który właśnie zajadał swobodnie winogrona przy wejściu Kazimierza.

„No, mamy znowu nowego!" rzekł stary, obcierając sobie palce ze soku o własne spodnie, — „ha, niezła figura, — na tego zda się każde ubranie, — no, — zdejmcie teraz wasze ubranie".

Bez wahania usłuchał Kazimierz tego rozkazu. — Stary przyniósł tymczasem jakiś zgrzebny mundur, — niedługo nastąpiła metamorfoza, — z eleganckiego, wytwornie przyodzianego paniczyka zrobił się licho i nędznie ubrany aresztant.

„Tak, a teraz chodź, mój maleńki", rzekł stary, pukając palcami po plecach Kazimierza, „teraz wyglądasz przynajmniej jak stary wyjadacz więzienny, — twoje ubranie biorę w przechowanie; — dał ci już dyrektor numer?"

Kazimierz zagryzł sobie usta, ten stary niedołęga ośmielał się go per „ty" tytułować, — niestety wiedział, że taki zwyczaj w więzieniu, przeto zamilczał.

„Tak, a teraz przyjdą włosy pod nożyce", odezwał się znowu stary, — „ale ja myślę, że dzisiaj niema naszego golibrody. No, musimy zobaczyć".

Porozumiał się z jakimś innym urzędnikiem, poczem odwrócił się znowu do Kazimierza, mówiąc:

„No, strzyżenie włosów musimy odłożyć do jutra, — ale to nic — czy prędzej, czy później, dzień wcześniej lub później muszą przyjść na porządek dzienny!

„A teraz", zwrócił się znowu do obu żołnierzy, czekających za drzwiami, „odprowadźcie tego człowieka do pana dyrektora, niech mu da numer, potem oddajcie go odźwiernemu."

Z rezygnacją postępował Kazimierz w pośrodku żołnierzy, udając się powtórnie do pokoju dyrektora.

„Już przebrany", zawołał dyrektor na jego widok, rzucając mu znowu surowe, badawcze spojrzenie, „ubranie swoje dostanie z powrotem po dziesięciu latach, jak będzie wychodził. Ponieważ aresztanci nie nazywają się w zakładzie po imieniu, więc muszę mu przydzielić jego

numer, — wciągnąłem go do książki pod numer 377, — musi się więc w przyszłości zameldować jak usłyszy wołany ten numer, — zresztą tymczasowo nie potrzebuje tego, bo jak wspomniałem pójdzie najpierw na trzy miesiące do osobnej celi. — Teraz tylko kilka jeszcze słów co do kar dyscyplinarnych, jakie mamy prawo nadawać w razie, jeżeli więzień daje nam sposobność do niezadowolenia.

„Cela jego ma wprawdzie małe, zakratowane okienko, ale w razie nieposłuszeństwa z jego strony zawiesi się na nie tak zwany kosz. Przez to czyni się celę zupełnie ciemną, co trwa stosownie do kary trzy dni, osiem dni albo nawet cztery tygodnie zupełnej ciemnicy. — Muszę go zrobić uważnym, że to bardzo nieprzyjemna kara, niechże się więc jej wystrzega poprawnem zachowaniem.

„Następnie przysługuje prawo zarządowi zakładu skazać więźnia na jeden aż do trzech dni postu ścisłego. Gdyby to wszystko nic nie skutkowało, w takim razie użyje się rózeg, które w obecności innych więźniów będą mu odliczone."

Kazimierz zamknął oczy, — niczego więcej nie pragnął, jak tego, żeby nie potrzebował słyszeć tej gadaniny. Wszystkie te bezcześczące słowa przyprowadzały go do wściekłości, krew rzuciła mu się do skroni, — zdawało mu się, że nie przetrzyma tego, — coraz głębiej wpajała mu się w mózg ta jedna myśl:

„Precz, — tylko precz, o ile możności prędko odejść, opuścić ten straszny budynek, w którym stemplują człowieka liczbą, nie wpuszczają światła dziennego, morzą głodem i karcą rózgami."

„Chcieliście napisać jeszcze list", odezwał się dyrektor więzienia powtórnie, „usiądźcie sobie, — tam na tym małym stoliku znajdzie się arkusz listowy, — naturalnie ze znakiem i cechą domu karnego, — tam stoi także atrament i pióro. — Żołnierze mogą odejść, nie potrzebuję ich więcej."

W minutę później siedział Kazimierz przy małym stoliku, który tak był postawiony, że dyrektor zakładu więziennego mógł cały czas obserwować aresztanta, nie potrzebując odrywać się od pracy przy swojem biurku. Nieszczęsny młody człowiek chwycił za pióro, — najcięższy moment w jego życiu nadszedł. Musiał się przecież z życiem pożegnać, — pożegnać się z tą, która mu była milszą nad życie, — pożegnać się ze snem miłości i szczęścia, jakie sobie wymarzył na przyszłość.

Tak, ten list miał być ostatniem pożegnaniem, jakie wyprawiał w świat. Ostatni raz chwytał za pióro, — już nigdy więcej nie będzie kreśliła ręka myśli na papier, — był mocno o tem przekonanym.

Ale ostatnia jego myśl, — ostatnie uczucie serca, — ostatnie poruszenie duszy, zanim miał przestąpić próg swojej celi, która wkrótce miała się zamienić w jego grób, — należało do niej, — tak, do niej tylko, — do tego drogiego, uroczego dziewczęcia, którego obraz nosił w sercu, — to jedyny drogi talizman, klejnot, jaki jego posępny los zostawił mu w spadku.



W Dublinie zastrajkowali tramwajarze. Celem utrzymania sprawności komunikacyjnej, władze wojskowe wypuściły na miasto samochody ciężarowe. Funkcje „tramwajarzy" pełnili z wdziękiem żołnierze. Najbardziej chyba były z tego zadowolone panie.

Drżącą ręką kreślił Kazimierz następujące słowa:

„Moja Anielciu,
moje drogie, gorąco ukochane
dziewczę!

Czy ten list dojdzie kiedy w Twoje ręce? Powątpiewam w to bardzo, bo niewiem nawet w tej chwili, gdzie się znajdujesz, moja najdroższa, czy jeszcze w zakładzie, czy udało ci się już może ujść z owego strasznego zabudowania łotra, doktora Morizano. Jeżeli tak jest, to dowiedziałaś się już zapewne o okropnym losie, jaki mnie spotkał. Gazety rozniosły tę wieść po całym świecie, — dowiodły, że hrabia Kazimierz Zamski jest bez honoru — że jest mordercą, — że jako zbrodniarz podniósł broń przeciwko bezbronnej, zacnej, dobrej dziewczynie.

Anielciu, — cały świat niech sobie wierzy w to, niech mnie obrzuci błotem pogardy, — wszyscy niech będą święcie przekonani o prawdziwości tego faktu podobnie jak ci sędziowie, którzy wydali na mnie wyrok potępiający! Tylko Ty, moja droga Anielciu, ty nie śmiesz, nie możesz wierzyć w to, żebym był zdolnym do takiego podłego czynu, — czuję to w tej uroczystej chwili, — Ty nie uwierzysz w to, — nie, — nie, — tyś przekonaną o mojej niewinności, — nosisz w sercu tę pewność, że ja nigdy nie potrafiłbym się zdobyć na podobne okrucieństwo.

Zamknij to przekonanie w swojej duszy, — droga, — noś je w sercu aż do śmierci, — to tylko może sprostować, złagodzić, — zrównoważyć tę krzywdę, jaka mnie od ludzi spotkała, tę zbrodnię w imieniu sprawiedliwości, moją śmierć za życia w ciemnem więzieniu. Jedno Twoje słowo więcej dla mnie znaczy, jak wszystkie wyroki najświatlejszych sędziów, jak oszukana, przekręcona, fałszywa opinja ludzka.

Anielciu, list ten piszę do Ciebie z więzienia w chwili, kiedy mnie przebrali w szare, smutne szaty więźnia, przed wprowadzeniem do celi, w której mnie mają zamknąć za życia. Dziesięć lat mam przebyć w mroku, w zgniliźnie karceru. Ja jednak sądzę, że tę dziesięć lat przedłuży się we wieczność, — nie będę więcej cieszył się życiem i słońcem wolności, — nie czuję się na siłach, by znieść ten straszny ciężar, jaki mi zawistny los wpakował na barki, przeto, — dlatego —

Jeżeli usłyszysz, moja Anielciu, żem umarł w więzieniu, proszę Cię o jedną łzę.

Wspomnij na biednego, nieszczęśliwego Kazimierza, któremuś niedawno wyznała: „Kocham cię!"

Pozwól, że to słowo pójdzie z nim do grobu, zamieni się w ziarno, z którego wyrośnie kwiat wspomnień na jego nagrobku, — jeden, jedyny kwiat, jaki zostawił zimny, okrutny świat temu biednemu, zapomnianemi skazańcowi!

Łzy zasłaniają mi papier, moja droga, — ręka prowadząca pióro drży, — za wiele przeceniłem moje siły przy tem pożegnaniu, — muszę je skrócić.

Jeszcze raz tylko chcę ci powiedzieć, moje ukochane dziewczę, żem cię ukochał, a ukochał tak silnie, że próżno szukałbym za słowami, aby ci miłość tę określić, — ukochałem, — moją Anielcię, — moją jedyną miłością, która mnie przeżyje. Mogą mnie zabić, pochować w najgłębszy, najciemniejszy grób, — jednego tylko nie potrafią mi nieludzcy kaci wydrzeć, — kwiatu miłości, który wyrósł w mem sercu, który napełnił całą moją nieśmiertelną duszę, — miłość to siła, to potęga, — ona znajdzie drogę do ciebie, choćby mnie zabrakło!



W Cortina d'Ampezzo, znanej miejscowości włoskiej, będącej centrum narciarskiem, odbył się ślub mistrzyni Włoch p. Ophelii Zardini ze znanym skoczkiem narciarskim Leo Mardini. Młoda para drogę z kościoła do samochodu odbyła pod skrzyżowanemi nartami.

Jak motyl będzie bujać tuż koło ciebie, — jak gwiazdka będzie się żarzyć w cieniach nocy; — o idź za tem światłem, moja Anielciu, — choćby gwiazda ta nie zaprowadziła cię do szczęścia, — obroni cię pewnie przed bezdrożami życia.

A teraz bądź zdrowa, jeszcze raz przyciskam Cię w duchu do swego serca, — jeszcze raz całuję Twoje słodkie usteczka, — jeszcze raz błogosławię Cię, moja ukochana Anielciu.

Przebacz, że obce słowa poety wplatam do mojego listu, ale one brzmią mi w uszach i nie chcą wyjść z pamięci, zresztą to słowa poety, który także wiele a nieszczęśliwie kochał i jako wygnaniec umarł opuszczony na obcej ziemi, — przyjm je wdzięcznie, bo one jakby wprost dla Ciebie napisane:

Kochanej dalekiej, kochanek daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem pozdrowić, pożegnać,
Dwa wyrazy, ach żegnaj! — Bądź zdrowa na wieki!
Przed wichrami i szronem gdy przelotne ptaki
Uciekając rozstania nucą pieśń żałosną,
Nie wiń ich o niestałość, one z każdą wiosną
W jedne strony jednymi powracają szlaki.
Słysząc głos ich wygnańca wspomnij przyjaciela!
Ilekroć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu do ciebie, — do ciebie uleci.
— — — — — — — —
Lecz nim pieśń tę przepędzą echa ku twej stronie,
Może już więzionego wieczny śnieg pochłonie.

Bądź zdrowa, — zobaczymy się, jak się zdaje, dopiero u stóp Najwyższego, — na ostatecznym sądzie.

Bądź zdrowa, — łzy padają mi na papier i zalewają to, com napisał, — to ostatnie łzy, jakiemi płaczę, — Anielciu, one płyną wskutek ciebie, — za utraconym rajem miłości!

Twój nieszczęśliwy Kazimierz."

Głowa biednego skazańca opadła na papier, — kilka minut leżał nieruchomy, — tylko łkanie gwałtowne wstrząsało jego piersią.

Dyrektor spoglądał obojętnie na więźnia, poczem wydobył zegarek z kieszeni.

„Czas, jaki jest wyznaczony do pisania listu, upłynął", odezwał się zimnym, obojętnym głosem, — „muszę was teraz kazać odprowadzić do waszej celi, — list ten, jak życzyliście sobie, oddam w ręce hrabiego Zygmunta Sokolskiego, naturalnie poprzednio muszę go przeglądnąć, czy nie będzie potrzebował jakich zmian."

Kazimierz powstał, — zapanował nad sobą, — przemocą stłumił swoje wzruszenie, — nie, — ten bezuczuciowy, zimny człowiek nie śmie zobaczyć łez w jego oku, — łez poświęconych pożegnaniu z najdroższym skarbem.

„Jestem gotów, panie dyrektorze, odejść do mojej celi."

Kurczowo przyciskał ręką małą flaszeczkę z trucizną, którą ukrył na piersi w małej specjalnie do tego sporządzonej przez niego kieszonce przy koszuli. Na szczęście nie kazali mu zmieniać bielizny, więc łatwo mógł ukryć wspomnianą truciznę tuż pod koszulą.

Jeszcze jedno czułe spojrzenie rzucił na list, który leżał nienaruszony na stoliku.

Za chwilkę zjawił się dozorca więźniów w uniformie urzędnika domu karnego, w ręce trzymał ogromny pęk kluczy.

Dzwonienie tychże wstrząsnęło Kazimierzem aż do szpiku.

„Proszę odprowadzić numer 377 do jego celi!" zawołał dyrektor zakładu. „Znacie przepisy, więc zrewidować go dobrze, aby nie zatrzymał przy sobie jakiegoś niebezpiecznego instrumentu, którymby mógł sobie życie odebrać lub się skaleczyć."

„Według rozkazu, panie dyrektorze!" — Numer 377, iść za mną!"

Nie spojrzawszy nawet na dyrektora, opuścił Kazimierz jego pokój biurowy.

Przez długi korytarz postępował za odźwiernym, potem przez jakieś schody, znowu kręte korytarze, wreszcie stanął odźwierny przed żelaznemi drzwiami. Otworzył je i rozkazał Kazimierzowi wejść do środka.

„Bądź zdrowa, ziemio!" zaszeptał Kazimierz sam do siebie, „bądź zdrów, świecie, — żegnaj mi na wieki!"

Postąpił dwa kroki naprzód, — zdawało mu się, że grób otoczył go.

Cztery nagie ściany, wąskie i wilgotne zamknęły go. Pod nogami kamienna podłoga, siwy sufit, — małe, zakratowane okienko, przez które wpadało zachodzące słońce słabym odblaskiem, — łóżko z ciemnym kocem, — miska, — dzban z wodą, — to, — to miał być dla niego w przyszłości cały świat.

„Chcesz zupę wieczorną, numerze 377?" — spytał go odźwierny.

„Nie!" odrzekł Kazimierz stanowczo. „Nie mam żadnego apetytu, — pójdę zaraz do łóżka!"

„To możesz!" rzekł odźwierny, na którym można było zrobić to spostrzeżenie,



Spadkobierczyni po miljonerze Wolworcie, Barbara Hutton, rozwodzi się z księciem Mdivani'm, motywując swój krok tem, że nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Krok ten jest wielką sensacją Paryża i Londynu. Na zdjęciu widzimy głośną parę.

że wikt aresztancki we wolności spożywany nie musiał być złym, „ja ci radzę, wyśpij się należycie! Zresztą masz dosyć czasu do spania! Możesz się porządnie wyleniuchować! W pierwszych trzech miesiącach nie będziesz nic robił. Ale myślisz może, że to przyjemnie, he? No poczekaj tylko, przyjacielu, praca jest zła, ale niepracować, siedzieć bezczynnie, to tysiąc razy gorsze!"

Kazimierz usiadł tymczasem na krawędzi swojego łóżka; głowę pochylił głęboko, — ledwie, że słyszał, co mu opowiadał ten uniformowany służący.

„Tak, tak, podczas pierwszych dni podoba się każdemu to próżniacze życie. Każdy kontent i zaciera sobie ręce jak wstanie, że nie czeka go żadna praca, — ale później, ha, jak to gniecie takie musowe lenistwo! — Ja ci powiadam, numerze 377, znałem jednego, ten na klęczkach prosił, aby mu dać jakie zajęcie, — bo wiesz, próżnowanie to tak jak mocne wino, włazi w głowę i w nogi, tak, że traci się wreszcie siły do chodzenia i do stania. Drugiego znałem, ten rozrzucał zawsze szpilki po podłodze, które w jakiś szczególny sposób schował był koło siebie, — potem zbierał je napowrót i znowu rozrzucał, tylko poto, aby sobie czas ukrócić. Trzeci poruszał bezustanku wargami, jakem się go spytał, co to ma znaczyć, odpowiedział mi, że liczy każdą minutę czasu, aby nie zapomniał przypadkiem myśleć.

„No, trzy miesiące przeminą", gwarzył dalej rozmowny odźwierny, zbliżając się powoli do drzwi i potrząsając kluczami. — „Trzy miesiące, to nie wiecz ność, — potem przyjdzie na porządek dzienny kręcenie cygar, — bardzo pożyteczna robota, zwłaszcza dla tych, którzy potem te cygara wypalają. — Żeby tylko tego przeklętego prochu tytoniowego nie było, który włazi każdemu do

nosa, gardła i płuc. Kręcą trzy lata, cztery lata niektórzy, — potem giną na suchoty, — prawie wszyscy giną! — A ty, numerze 377, ty masz dziesięć lat do odsiedzenia, nieprawdaż? — No, ja ci ręczę, że dziesięciu lat nie wytrzymasz, — mogę ci dać moje słowo na to!“

Wreszcie zamknęły się drzwi. Kazimierz został samotny!

Samotny! — Jakby jakieś dobrodziejstwo odczuł to Kazimierz. Nie potrzebował widzieć żadnego człowieka, zwłaszcza żadnego z tych wstrętnych, którzy już dawno zapomnieli, co to znaczy litość, miłosierdzie, nie potrzebował słuchać ich głupich, obrażających mów, ich docinków i grubijańskich żartów! Ha! Co za luby spokój wreszcie być wyzwolonym od tych nędznych kreatur, które tylko żarty sobie stroją z boleści biednych, nieszczęsnych uwięzionych!

Kazimierz pytał napróżno sam siebie, dlaczego do zarządu zakładu karnego nie wybierają przedewszystkiem zacnie, szlachetnie myślących ludzi o czułem sercu, którzyby podołali temu zadaniu, jakie na nich obowiązek wkłada, którzyby się zajęli szczerze i życzliwie tymi nieszczęśliwymi, których srogi los tutaj wprowadza, — bo to przecież także ludzie zasługujący o wiele więcej na współczucie i pobłażliwość jak inni, — bo oni na śmierć lub warjactwo skazani!

„Warjactwo!“ zawołał Kazimierz, mierząc swoją celę prędkimi kroki niby niespokojny lew w klatce; — był rozdrażniony jak dziki zwierz, czuł się bliskim zwarjowania!

„Szaleństwo, ha, ja potrafię ujść twoim szponom, — umknę wcześnie! O nie, szare mury, nie będziecie wy mnie tutaj długo oglądały, — pozbędziecie się niedługo smutnego gościa. Chwała Bogu, nie będę potrzebował rozrzucać i zbierać igieł po podłodze, lub liczyć pojedyńczych minut, czy sekund, — nie, — minuty, kwadranse, godziny, dnie, lata, wieki całe przejdą obojętnie koło mnie, nie dotkną mnie, chyba tylko tyle ile te ostatnie promienie słońca, które wpadają do mojej celi przez to małe zakratowane okienko muskając moje zgrzebne ubranie! — Na szczęście mam przy sobie lekarstwo na wolność, swobodę, spokój!“

Drzwi zostały powtórnie otwarte, do środka wstąpił odźwierny.

„Zapomniałem coś“, odezwał się, „muszę cię przeszukać, numerze 377! — No, daj tylko dobrowolnie wszystko, co masz w kieszeniach! Wiele tego i tak nie będzie. Nie masz scyzoryka? Ani szelek? Pas nosisz tylko! No, muszę ci i ten zabrać, bo widzisz, znałem jednego — —.—“

Kazimierz przerwał mu z niecierpliwością.

„Daruję wam najzupełniej“, zawołał, „wszystkie wasze opowiadania, one mnie nie zajmują ani odrobiny! — Wierzę wam chętnie, że w zakładzie tutejszym mieści się wiele zbrodniarzy, że tu mieszka dosyć nieszczęścia i cierpienia, ale ja mam dosyć własnego w mojej piersi, — nie potrzebuję słuchać i zajmować się cudzem!“

Oddał odźwiernemu swój pas, dostał za to od niego w zamianę sprzączkę z objaśnieniem, jak się ma nią posługiwać.



W Ameryce dokonano próby sterowania samolotu falami radjowemi. Aparat dokonał lotu wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego i utrzymał się w powietrzu przez 9 i pół godzin. Na zdjęciu kapitan Bisselt w samolocie kierowanym falami radjowemi.

„A w kieszeni wewnętrznej także nic nie masz?“ spytał odźwierny, sięgając ręką pod surdut.

„Cobym miał mieć?“ zawołał Kazimierz skwapliwie, „przecież wczoraj dopiero dostałem to ubranie!“

„Nic nie szkodzi, pomimo tego mogłeś w niem coś ukryć, numerze 377“, — zaśmiał się odźwierny, — „musimy bardzo dokładnie przeszukiwać, bo widzisz, — my jesteśmy w ciągłej walce z tymi aresztantami. Albo my ich wiążemy, albo oni napadają na nas, — o przyjaźni nie może być mowy! No, — ja widzę, że ty rzeczywiście nic nie masz przy sobie, — muszę ci życzyć dobrej nocy, — to twoja pierwsza w kryminale, — no, niechże ci się śni coś ładnego! — Powiadają, że to się sprawdza, o czem się śni w obcem łóżku.“

„Mój sen spełni się!“ odrzekł Kazimierz z taką stanowczością i tak dobitnie, że aż odźwiernego to zadziwiło.

„To, co mi się dzisiejszej nocy przyśni, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci, to utkwi mi aż do końca świata silnie w mej piersi!“

„Dziwny człowiek“, zamruczał odźwierny, „takiego jeszczem nigdy nie widział! Inni wrzeszczą, krzyczą, rzucają się, toczą dziko oczyma, aż strach niejednego zbiera, — a ten, — dziwnie spokojny gość! Ha, — trzeba będzie go mieć na oku, — tacy skryci to najniebezpieczniejsi, zaczynam pojmować! — Znałem raz jednego —“

Na szczęście dla Kazimierza mrucząc te słowa pod nosem zamknął drzwi od celi, — Kazimierz nie potrzebował słuchać nowej historji.

Młody arystokrata rzucił się na łóżko. Chciał rzeczywiście spać, — wypocząć! Teraz nie miał zamiaru kończyć życia, dopiero w nocy, kiedy powszechna cisza zapanuje. — Gdyby teraz wypił truciznę, mógłby w boleściach nadmiernych począć krzyczeć, wołać może o ratunek w trwodze przedśmiertnej, — mogłaby go usłyszeć straż spacerująca po korytarzu, — mogliby zawołać lekarza i może potrafiliby go jeszcze uratować!

Kazimierz nie chciał, aby tak się stało! On chciał umrzeć, — nie chciał powracać z progu grobu powtórnie do istnienia. Te nieprzyjemności, wstyd, uciążliwości więzienia odebrały mu wszelką chęć do dalszego życia!

Rozstrojony ostatnimi wypadkami, znużony przymknął oczy i zasnął niedługo. — Ale nie widziadła jakieś straszne spłynęły na jego duszę, przeciwnie pierwsza postać, która mu się we śnie ukazała, — była ukochana Anielcia, — przypłynęła we mgle do jego łóżka, — schyliła się nad nim, — poczęła całować jego czoło.

„Twój dobry duch przy tobie!“ szeptała mu do ucha, „pytaj go!“

Ale jak tylko się podniósł aby ją objąć ramionami, przycisnąć do piersi, ucałować te drogie usta, za któremi się tyle stęsknił, poczęła znikać jak widmo, rozpływać się we mgle w nicość.

Z boleścią spowodowaną zawodem upadł powtórnie na łoże, — i oto, — znowu była przy nim, wołała do niego:

„Łap, łap, twoje dziewczę, — przecież to ja, twoja Anielcia, — łapże mnie!“

Wreszcie po godzinie tej męki, tego ustawicznego daremnego łapania pozwoliła mu się schwytać, położyła się tuż przy nim na łóżku, oplotła go swymi włosami i poczęła całować w usta gorąco, nieustannie drżącem, ciepłem ciałem przyciskała się do niego, pozwalając na wszystko, jakby w tej ostatniej chwili chciała mu zadośćuczynić, — bodaj we śnie, — za utratę całego szczęścia, jakie miał stracić niedługo z nią razem.

Nagle zobaczył śniący doktora Morizano, który wsunął się po cichu do pokoju. Zbliżył się na palcach do Anielki, jakby mu ją chciał wydrzeć z ramion. Anielcia poczęła krzyczeć błagając o ratunek! Kazimierz chciał jej pomóc, — niestety, nie był w stanie! Ramiona opadły mu bezsilnie. Tymczasem doktór Morizano porwał biedną dziewczynę, podniósł ją w górę i skierował swoje kroki ku drzwiom, chcąc ją wynieść z celi więźnia. Ale na środku pokoju począł się przemieniać nagle w drzewo. Stanął pień z rozległymi konarami, — bez liści. Kazimierzowi zdawało się, że śnieg pada. Coraz gęstsze, grubsze płatki padały, okrywając całe drzewo i grubre konary gęstą warstwą puchu białego, — tylko na wierzchołku samym, — o dziwo, — pomimo śniegu i mrozu usiadła mała ptaszyna, — tak, — to słowik, — i poczęła śpiewać przecudnie, nucić żałośnie pieśń rozstania, — pieśń o utraconym raju!

Kazimierz przebudził się, — krople potu pokryły jego czoło.

„To był cudny i zarazem straszny sen!“ rzekł sam do siebie, podnosząc się zwolna z łoża. „Naprawdę, spałem dość długo, bo już ciemna noc, gwiazdy tylko lśnią się migotliwie na niebie! — Ale i te gasną, — jakaś ciemna chmura zakrywa mi je, — nie pozwala im świecić na skazańca! — Małe ptasze, mój

słowik uroczy znikł także na całe życie, — uleciał precz odemnie, — zostałem sam jeden, — samotny!

„Dobrze, niechże będzie, — nadszedł czas do działania. — Przysiągłem sobie, że nie przeżyję pierwszej nocy w więzieniu. Przysiągłem, a więc muszę dotrzymać przysięgi, — musi się spełnić! Zakończyłem z całą teraźniejszością. — Ostatnim listem pożegnałem się z moją najdroższą, najukochańszą Anielcią, — spodziewam się, co daj Boże, że dostanie się on w jej ręce. Z listu tego dowie się, jak ją ukochałem i co mnie kosztuje to rozłączenie się na wieki, — ale inaczej być nie może, — żegnaj mi, żegnaj na zawsze!

„A teraz chodź do mnie, ekstrakcie cierpień i boleści, mój klejnocie najdroższy, chodź, mała flaszeczko, kojąca wszystkie me bóle! Ludzie złorzeczą ci, nienawidzą cię, bo truciznę zawierasz w sobie, a ja błogosławię cię, boś ty cała moja pociecha, — koniec rozpaczy!"

Przystojny, młody, a tak nieszczęsny mężczyzna sięgnął przy tych słowach w zanadrze za koszulę i wyjął z małej, sekretnej kieszonki, którą sobie sam sporządził podczas przebiegu śledztwa, małą flaszeczkę.

„Dzięki ci, stokrotne dzięki, hrabio Zygmuncie", zawołał na widok fioli, „żeś mi wyświadczył tę ostatnią przysługę. Ostatniem mojem tchnieniem chcę ci jeszcze dziękować za to! — Cały szereg długich męczarni, jakie mnie czekały, zakończę sam! — Sam odźwierny powiedział przecież wyraźnie:

„Trzy do czterech lat wytrzymasz przy kręceniu cygar, a potem przyjdą suchoty.

„Bogu dzięki, nie potrzebuję czekać na nie! Skończę prędzej, — z własnej woli, własnem postanowieniem!"

Kazimierz przyłożył rozpalone czoło do żelaznych sztab u okna, — wpatrzył się w ciemną noc, jakiś wielki, posępny plac budowlany leżał tuż przed jego oknem.

„To wcale niepiękny obraz, jaki po raz ostatni spostrzegam na tym świecie, — ale Bogu dzięki, piękniejszy mam za to w duszy! O, pozwól mi, kochana Anielciu, myśleć o sobie, — pozwól mi uprzytomnić sobie obecnie twój luby obraz, jako ostatni zanim umrę! Może nie opuści mej duszy w godzinę śmierci, — nie opuści na wieki, — wryje się na zawsze, — moja luba, słodka narzeczona!"

Korek od flaszeczki odskoczył, tocząc się aż na środek celi po podłodze.

Kazimierz podniósł płyn w górę, przykładając flaszeczkę pomału do ust.

W tej samej chwili usłyszał dobrze znany mu głos trąbki pożarnej i ujrzał jak wóz ze strażakami zakręcił w szybkim pędzie tuż naprzeciw jego okna ze szerokiego placu w dalszą ulicę.

„Ogień!" zawołał słabo. „Tam drżą może ludzie o swoje dobra, majątek, o dach nad głową, może wali się w gruzy wspaniały pałac jakiegoś bogacza. — Ach, jak daleko odsunąłem się już od świata, — zdaje mi się, jakbym już był na drugiej stronie Lety; słaby tylko niby o milę oddalony pomruk morskich bałwanów dochodzi do uszu moich, — to gwar świata, ale i te tony milkną, rozpływają się w nieskończoność!

„Oderwałem się już od świata, — uciekłem od niego! Bądź zdrowa, moja Anielciu, — niech cię Bóg strzeże, moje biedne, słabe dziecko, — odchodzę od ciebie, — ale lepszy, mocniejszy obrońca zostanie przy tobie, — ten, który króluje nad światami, — on cię nie opuści, — on cię będzie strzegł jako swoje słabe dziecko!" — — —

Kazimierz przymknął oczy, zbliżając flaszeczkę z trucizną jeszcze bardziej do ust.

Gęsta trucizna posunęła się zwolna aż do krawędzi fioli. Już pierwsza kropla miała spaść na usta młodego arystokraty, gdy wtem doszedł do jego uszu jakiś raptowny krzyk.

„Otwierajcie, — on niewinny, — daję moje słowo szlacheckie w zastaw! — Otwierajcie, — on niewinny niby światło dnia!"

Kazimierz jęknął, — osunął się w tył, — flaszeczka chciała mu wypaść z ręki, ale ostatnim wysiłkiem ścisnął ją w palcach.

„To głos hrabiego Zygmunta!" wyszeptał, „poznałem go! — Woła, żem niewinny, — niewinny! — Nie, nie, — ja muszę śnić, — dalej, tylko dalej, — niechcę oczekiwać, — nie, — nie chcę!"

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

H-U-M-O-R

Czy warto?...

Pietrasiński przeprowadził się.

— Gdzie pan teraz mieszka? — pyta znajomy.

— Bryndzowa 3, prawa oficyna, szóste piętro.

— Szóste piętro?... Dlaczego tak wysoko?...

— Żeby wierzyciel, zanim wejdzie do mnie na górę, dobrze się zastanowił, czy warto mu wchodzić na szóste piętro napróżno...

Djalog małżeński

— Co, taki jesteś i chcesz być moim mężem?

— Jeśli chodzi o ścisłość — oddawna chciałbym nim nie być.

Jak śmiał

Pewnego razu w pewnem towarzystwie zapytał starszy szeregowiec Brzdąc pewną niewiastę:

— Proszę pani, ile pani ma lat?

Dama spłonęła jak piwonja i spuszczając oczy w dół skromnie, rzekła:

— Dwadzieścia.

— Co? — mówi Brzdąc — niech pani to powie innemu, nie mnie!

— Ależ panie! Ja mam naprawdę dwadzieścia lat.

— Naprawdę!? No, to niech mi pani pokaże metrykę.

— Panie! — woła oburzona niewiasta, ze złowrogim błyskiem oczu — jak pan śmie coś podobnego mówić kobiecie?!

Problem

— Gdyby Ryszard Lwie Serce leczył się w razie choroby serca, to u kogo: u lekarza czy u weterynarza?

W księgarni przed świętami

— Chciałbym wybrać coś odpowiedniego na święta dla mojej śpiewaczki!...

Młody praktykant podaje z zadowoloną miną gościowi pięknie oprawioną książkę:.

— O właśnie tutaj mam coś stosownego: „Podręcznik dobrego tonu."

Wyrwało mu się

— Ale pan ma szramę na twarzy, panie Knocik! A cóż to za bałwan fryzjer, który pana golił?

— Golę się zawsze sam!

— A to przepraszam!

Nieporozumienie

Podczas zabawy tanecznej na cele dobroczynne panowie grają w karty w bocznym pokoju. Jeden z nich, nader muzykalny, nadsłuchuje straussowskiego walca, a w końcu szepce sąsiadowi:

— Fałszywie!

— Na litość boską cicho! — błaga sąsiad. — Nie mów pan nikomu! Ja mam sześcioro dzieci.

Szczera

Świeżo przyjęta pokojówka zgłasza się do nowej pani:

— Ostatnio byłam u jednego bogatego pana, ale pan był niewidomy.

— I dlaczego porzuciłaś to miejsce?

— On za wiele widział, proszę pani...

Odważny chłopiec

— No i cóż, Stasiu, zachowywałeś się odważnie u dentysty?

— Jeszcze jak, mamusiu! W żaden sposób nie mógł sobie ze mną dać rady...

U wróżki

— Z poprzecznych i podłużnych linij ręki pani — mówi jasnowidząca — wynika całkiem jasno, że w najbliższym czasie spotka pani na swej drodze młodego, pięknego, eleganckiego pana, który zakocha się w pani od pierwszego wejrzenia. Wyjdzie pani za niego zamąż i będzie z nim pani bardzo szczęśliwa...

— Bardzo się cieszę — przerywa klijentka — proszę mi tylko powiedzieć, w jaki sposób mam się pozbyć mojego obecnego męża?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się. P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50% zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.